

wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V

Łódź, 27 czerwca 1948 r.

Nr 26 (155)

W NUMERZE

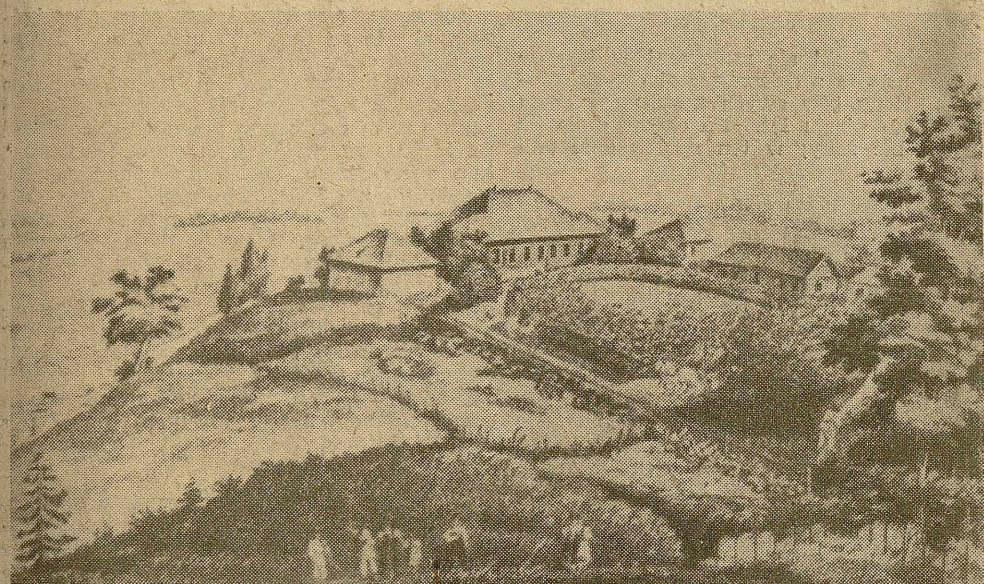
między innymi:

S. Gudzenko, E. Bagricki, O. Kolyeczew — Wiersze
 L. Gomolicki — Mickiewicz i Puszkini
 T. Orlewicz — Gospodarka rolna ZSRR w latach 1917 — 1947
 W. Strzeński — O przyszłość naszych miast i osiedli
 M. Rękas — Technicy w produkcji rolnej
 T. Twarogowski — Spod strzech nad Szprewą
 J. Gerhard — Na froncie zachodnim

Aleksander. Puszkini

Przełożył Seweryn Pollak

HISTORIA WSI GORIUCHINO*)



Michajłowskoje



Puszkini i Puszcini. Michajłowskoje

JEZELI Bóg zesła mi czytelników, to będą zapewne ciekawi, w jaki sposób zdecydowałem się napisać Historię Wsi Goriuchino. W tym celu zmuszony jestem wdać się w pewne przedwstępne szczegóły.

Przyszedłem na świat z nieciwych i szlachetnie urodzonych rodziców we wsi Goriuchino 1 kwietnia 1801 roku i początkowe nauki pobierałem u naszego djaczka. Temu właśnie szlachetnemu mężowi winien jestem wciąż rozwijające się zamiłowanie do czytania i w ogóle do zajęć literackich. Moje postępy w naukach, choć powolne, rokowały jednak nadzieje, bowiem w dziesiątym roku życia wiedziałem już prawie wszystko to, co po dziś dzień pozostało w mej pamięci, z natury słabej, której, ze względu na również słabe zdrowie, nie pozwalało mi zbyt obciążać.

Stanowisko pisarza zawsze wydawało mi się godne zazdrości. Rodzice moi, ludzie zacięci, lecz prości, wychowani w sposób staroświecki, nigdy nie czytali i w całym domu nie znalazłbyś żadnych książek prócz **Elementarza** kupionego dla mnie, kalendarzy i **Nowego Sekretarza**. Czytanie **Sekretarza** przez długi czas było moim ulubionym ćwiczeniem. Znałem go na pamięć i pomimo to co dzień znajdowałem w nim nowe, niedostrzeżone przedtem uroki. Po osobie generała Plemiannikowa, którego mój ojciec był niegdyś adiutantem, Kurganow wydawał mi się największym geniuszem. Wypytywałem o niego wszystkich, ale na nieszczeście nikt nie mógł zaspokoić mojej ciekawości, nikt go nie znał osobiście. Na wszystkie pytania odpowiedział mi tylko, że Kurganow ułożył **Nowego Sekretarza**, o czym sam wiedziałem doskonale. Otaczał go mrok tajemniczości, jak jakiegoś starożytnego półboga; niekiedy wątpiłem nawet w jego istnienie. Nazwisko jego wydawało mi się zmyślane, a podanie o nim — próżnym mitem, który czekał na badania nowego Niebuhra. Pomimo to nęcił on zawsze moją wyobraźnię; starałem się nadać tej tajemniczej postaci jakiegokolwiek bądź rysy i wreszcie zdecydowałem, że musi być podobny do asesora ziemskiego Koriuczki, małego staruszka z czerwonym nosem i połyskliwymi oczami.

W 1812 roku zawieziono mnie do Moskwy i oddano do zakładu Karola Iwanowicza Meiera, — gdzie pozostawałem nie dłużej niż trzy miesiące, gdyż rozpuszczono nas przed wejściem nieprzyjaciela — po czym powróciłem na wieś. Po wygnaniu wojsk dwunastu narodów chciano mnie znowu odwieźć do Moskwy, sprawdzić, czy nie wrócił Karol Iwanowicz na stare popielisko albo też, gdyby nie powrócił — oddać mnie do innej uczelni, ale uprosiłem mamę, by pozostawiła mnie na wsi, ponieważ stan zdrowia nie pozwalał mi wstawać z łóżka o siódmej rano, jak to jest we zwyczaju we wszystkich burdach. W ten sposób doszedłem do szesnastego roku życia, poprzestając na mym początkowym wykształceniu i grając w piłkę z wyznaczonymi do mej rozrywki chłopcami; była to jedyna nauka, w której osiągnąłem dos-

tateczne wiadomości w czasie pobytu w zakładzie.

W tym czasie wstąpiłem jako podchorąży do XX pułku piechoty, w którym też przebywałem aż do zeszłego, 18. roku. Mój pobyt w pułku pozostawił mi mało przyjemnych wspomnień, prócz nominacji na oficera i wygranej dwustu czterdziestu rubli w chwili, gdy pozostał mi w kieszeni rubel i sześćdziesiąt kopiejek. Śmierć mych najdroższych rodziców, która nastąpiła w jednym czasie, sprawiła, że musiałem podać się do dymisji i powrócić do mej ojcowizny.

Owa epoka mego życia jest o tyle dla mnie ważna, że zamierzam mówić o niej szerzej, zawczasu przepraszając życzliwego czytelnika, jeżeli nadużyję jego łaskawej uwagi.

Dzień był jesienny i ponury. — Przybywszy na stację, od której miałem zjechać do Goriuchina, wynajmłem prywatne konie i pojechałem pełną drogą. Mimo, że z natury mam spokojne usposobienie, lecz niecierpliwe pragnienie, aby ujrzeć znowu miejsce, gdzie spędziłem najlepsze swe lata, ogarnęło mnie tak mocno, że co chwila popędzałem woźnicę, co obiecując mu napiwek, to znów grożąc biciem, a ponieważ poręcznie było mi szturchać go w plecy, niż wyjmować i rozwiązywać sakiewkę, to przyznam, że ze trzy razy uderzyłem go, co się ze mną póki żyje nie zdarzyło, ponieważ ród woźniców, nie wiem zresztą dlaczego, był mi szczególnie miły. Woźnica poganił swą trójkę, ale mnie się wydawało, że zwyczajem woźniców, popędzając konie i wymachując batem, ścigał lejące. Wreszcie dostrzegłem goriuchinśki las i po dziesięciu minutach zjechałem przed dwór. Serce biło mi mocno — rozglądałem się dokoła ze wzruszeniem nie do opisania. Brzoźki, które posadżono pod płotem za moich czasów, wyrosły i stały się teraz wysokimi, rozgałęzionymi drzewami. Podwórce, które niegdyś było ozdobione trzema równymi klombami — pomiędzy którymi przechodziła usypiana piaskiem droga — zamienione zostało teraz na niekoszoną łąkę, na której pasła się krasa krowa. Brzyzka moja zatrzymała się przed gankiem. — Służący poszedł otworzyć drzwi, ale były one zabite gwoździami, pomimo, że okiennice były otwarte i dom wydawał się zamieszkały. Z czeladnej izby wyszła baba i zapytała z kim chcę się widzieć. Dowiedziawszy się, że przyjechał dziedzic, zawróciła do izby i wkrótce otoczyła mnie cała dworska służba. Byłem wzruszony do głębi serca, widząc znajome i nieznajome twarze i całując się przyjaźnie ze wszystkimi; chłopcy przydzieleni mi niegdyś do zabawy byli już dorosłymi chłopami, a dziewczęta, które siedziały niegdyś na podłodze i biegały na posyłki — zamegnęły babami. Mężczyźni płakali. Kobiętom mówiłem bez ceremonii: „jakeś się zestarzała“ — a one odpowiadały mi szczerze: „jak pan strasznie zbrzydł“. — Zaprowadzono mnie na boczny ganek, na moje spotkanie wyszła stara mamka i uściśliła mnie, płacząc i łkając, jak skołatanego podróżnego Odysseusza. Po biegle przygotować łaźnię. Kucharz, który z nudów zapuścił sobie brodę, ofiarował już przygotować obiad czy też kolację, gdyż już się zmierzchało. Natychmiast opróżniono dla mnie pokój, w którym mieszkała nianka z pokojówkami nieboszczki mamy i znalazłem

się w cichym ojcowym domu, zasnąłem w tym samym pokoju, gdzie dwadzieścia trzy lata temu przyszedłem na świat.

Blisko trzy tygodnie przeszły mi na wszelakiego rodzaju zabiegach, wciąż miałem do czynienia z asesorami ziemskimi, naczelnikami i przeróżnymi urzędnikami gubernialnymi. — Wreszcie przejąłem spadek i zostałem wprowadzony w posiadanie ojcowizny. Uspokoiłem się, ale wkrótce zaczęła dręczyć mnie nuda bezczynności. Nie znałem się jeszcze z dobrym i szanownym moim sąsiadem XX. — Zająęcia gospodarskie były mi obce. — Rozmowy z nianką, którą zrobiłem klucznicą i rządczynią, ograniczały się do piętnastu domowych anegdot, dość ciekawych, lecz opowiadanych przez nią zawsze w sposób jednokowy, tak, że stała się ona dla mnie drugim **Nowym Sekretarzem**, w którym znalazłem każdą stronę i każdy wiersz. — Prawdziwy zaś zasłużony egzemplarz **Sekretarza** znalazłem w lamusie, pośród przeróżnych rupiejów, w godnym politywanego stanie. — Wyniosłem go na światło dzienne i zabrałem się do czytania. Ale Kurganow stracił już dla mnie swój dawny czar, przeczytałem go, raz jeszcze i więcej już nie otwierałem.

W tej ostateczności przyszło mi na myśl, czy by nie spróbować napisać coś samemu. Życzliwy czytelnik wie już, że otrzymałem lichą edukację i że nie miałem sposobności, aby samemu zdobyć to, co zaniedbałem, bawiąc się do szesnastego roku życia z folwarcznymi chłopakami, a później przenosząc się z gubernii do gubernii, z mieszkaniem na mieszkaniu, spędzając czas z Żydami i markietanami, grając na obdartych bilardach i maszerując po błocie.

Przy tym wydawało mi się, że stać się pisarzem jest rzeczą tak trudną, tak nieosiągalną dla nas, niewtajemniczonych, że myśli o tym, iż mógłbym wziąć się za pióro przerażała mnie z początku. Czyż mogłem ośmielić się do tego stopnia, by żywić nadzieję, że kiedyś zostanę pisarzem, gdy nawet nie spełniło się moje pragnienie, aby któregoś z nich poznać? Ale to przypomina mi zdarzenie, które mam zamiar opowiedzieć na dowód moich stałych uczuć dla piśmiennictwa ojczystego.

W roku 1820, gdy byłem jeszcze podchorążym, zdarzyło mi się w sprawach służbowych pojechać do Petersburga. Przebyłem tam tydzień i, pomimo, iż nie miałem ani jednego znajomego, spędziłem czas nadzwyczaj wesoło: co dzień chodziłem do teatru na galerię czwartego piętra. — Wszystkich aktorów poznałem z nazwiska i namiętnie zakochałem się w XX, która z talentem grała pewnej niedzieli rolę Amalii w dramacie pod tytułem „Nienawiść do ludzi i skruha“. Z rana, po powrocie ze Sztabu Głównego, wstępowałem zazwyczaj do niskiej cukierenki i przy filiżance czekolady czytywałem pisma literackie. Pewnego razu siedziałem zatopiony w krytycznym artykule **Życzliwego**; ktoś w płaszczu koloru grochu podszedł do mnie i po cichu wyciągnął spod mego zeszytu arkusz **Gazety Hamburgskiej**. Byłem tak zajęty, że nawet nie podniosłem oczu. Nieznajomy zamówił bejsztyk i usiadł naprzeciwko mnie; cały czas czytałem, nie zwracając na niego uwagi; tymczasem tamten zjadł śniadanie, gniewnie zwymyślał usługującego chłopca za niezręczność, wypił pół butelki

wina i wyszedł. Dwóch młodzieńców jadło śniadanie tuż obok. „Czy wiesz kto to był? — rzekł jeden do drugiego: — To B., literat“. Literat! — wykrzyknąłem pomimowoli i rzuciwszy niedoczytane pismo i niedopita czekoladę, pobiegiem płacić, a nie doczekawszy się reszty, wybiegiem na ulicę. Rozejrzawszy się na wszystkie strony, dostrzegłem z dala płaszcz koloru grochu i skoczyłem za nim wzdłuż Newskiego prospektu — omal, że nie biegiem. Ledwo zrobiłem kilka kroków, gdy nagle poczułem, że ktoś mnie zatrzymał — ogłądał się, a to oficer gwardii zrobił mi uwagę, że nie powinienem być zepchnąć go z chodnika, a raczej zatrzymać się samemu i oddać mu honory. Po tej wymówce stałem się ostrożniejszy; na nieszczeście co chwila spotykałem oficerów, co chwila zatrzymywałem się, a mój literat wciąż przede mną uciekał. Póki żyję nie ciążył mi tak mój żołnierski mundur — póki żyję oficerskie szlify nie wydawały mi się tak upragnione; wreszcie już przed samym Anichkinym mostem dopędziłem płaszcz koloru grochu. „Pozwoli pan, że zapytam — rzekłem przykładając dłoń do czoła — czy pan jest panem B., którego wspomniał artykuły miałem — szczęście czytać w „**Miłośniku Oświaty**“? — „Nie, proszę pana — odpowiedział mi — nie jestem pisarzem, jestem patronem sądowym; ale XX-a bardzo dobrze znam: nie dalej jak kwadrans temu spotkałem go przy Policyjnym moście“. — W ten sposób szacunek do rosyjskiej literatury kosztował mnie trzydzieści kopiejek straconej reszty, wymówkę służbową i niemały że areszt — a wszystko to na próżno.

Pomimo argumentów rozsądku, zuchwała myśl, by stać się pisarzem, stała przychodzić mi do głowy. Wreszcie, nie mając dużej siły sprzeciwiać się głosowi natury, uszyłem sobie gruby zeszyt z niezłomnym zamiarem wypełnienia go byle czym. Rozważyłem i oceniłem wszystkie rodzaje poezji (bowiem o skromnej prozie nie pomyślałem jeszcze wtedy) i zatrzymałem się nieodwołalnie na poemacie epickim zaczerpniętym z **Dziejów Ojczystych**. — Wybór bohatera nie nastęrczał trudności. Wybrałem Ruryka i wziąłem się do roboty.

Do wierszy nabrałem pewnego nawyku przepisując zeszyty, które wędrowały z rąk do rąk wśród naszych oficerów, a mianowicie: **Niebezpiecznego Sąsiada**, **Krytykę na Bulwar Moskiewski**, na **Stawy Presnenskie** itp. Pomimo to poemat mój posuwał się powoli, rzuciłem go po trzech wierszach. Sądziłem, że rodzaj epiki nie jest moim rodzajem. Rozpocząłem tragedię pod tytułem „Ruryk“. Z tragedią coś nie wychodziło. Spróbowałem zamienić ją na balladę — ale i ballada też jakoś mi nie szła. Wreszcie oświeciło mnie natchnienie, zacząłem i sześcieliwie zakończyłem podpis pod portret Ruryka.

Pomimo, że podpis mój był całkiem godny uwagi, zwłaszcza jako pierwszy utwór młodego rymotwórcy, jednakże poczułem, że nie jestem stworzony na poetę i zadowolilem się z tej pierwszej próby. Moje usiłowania twórcze tak przywiązały mnie jednak do zajęć literackich, że nie mogłem się już rozstać z zeszytem i kalamarzem. — Zapragnąłem zstąpić ku prozie. Na pierwszy ogień, nie chcąc zajmować się wstępnymi badaniami, układać

*) Z tomu pt. „Utwory proza“ A. Puszkina, który ukaże się wkrótce nakł. Sp. Wyd. „Książka“.

planu, wiązać poszczególne części itp., postanowiłem zapisywać oddzielne myśli bez wszelkiego związku i porządku, tak jak będą mi się nasuwały. Na nieszczęście, myśli nie przychodziły mi jakoś do głowy i po całym dniu dwóch dniach wykonypowałem następującą uwagę:

Człowiek, który nie podporządkowuje się prawom rozsądku i który idzie za głosem namiętności, często błądzi i naraża się na spóźnioną skruchę.

Myśl oczywiście była słuszną, ale już nie nowa. Porzuciwszy aforyzmy, wziąłem się do powieści, ale nie umiając, z braku nawyku, rozplanować wymyśloną akcję, wybrałem co najciekawsze anegdoty, które niegdyś słyszałem od różnych osób i starałem się przyozdobić prawdę żywością opowiadania, a czasami również kwiatami własnej wyobraźni. Przy układaniu powieści powoli wykształciłem sobie styl i nauczyłem wyrażać się prawidłowo, zręcznie, swobodnie. — Ale wkrótce zapas mi się wyczerpał i znów zacząłem poszukiwać przedmiotu działalności literackiej.

Myśl o porzuceniu drobnych i wątpliwych anegdot dla opowiadania prawdziwych i wielkich wydarzeń od dawna już niepokoiła moją wyobraźnię. Być sędzią, obserwato-rem i prorokiem wieków i narodów — wydawało mi się najwyższym dostępnym pisarzowi stopniem. Ale jakąż historię mógłbym napisać z tym ubogim wykształceniem, gdzie nie uprzedziłoby mnie już wielcy uczeni, pełni doświadczenia mężowie? Jakież rodząj historii nie został już przez nich wyczerpany? Zaczęłem pisać historię powszechną — ale czy nie istnieje już nieśmiertelna praca opata Milota? Gdy zwróciłem się do historii ojczystej, coż powiem po Tatyszczewie, Borkinie i Golikowie? I czy potrafiłbym grzebać się w kronikach i dociekać ukrytego sensu starodawnego języka wtedy, gdy nie zdołałem nauczyć się słowiańskich liter? Myślałem o historii mniejszych rozmiarów, na przykład o dziejach naszego miasta gubernialnego, ale i tu ileż na drodze mej stałoby trudności nie do przezwyciężenia! Podróż do miasta, wizyty u gubernatora i u archiereja, prośba o dopuszczenie do archiwów i klasztornych skrytek i tak dalej. Historia naszego miasta powiatowego byłaby dla mnie przystępniejsza, ale nie była dość zajmująca ani dla filozofa ani dla pragmatyka i dawała mało pola dla pięknego stylu. XXX został przemianowany na miasto w roku 17... i jedynym godnym uwagi zapisanym w jego kronikach wydarzeniem był okropny pożar, który wydarzył się dziesięć lat temu i zniszczył rynek oraz budynek sądowy.

Nieprzewidziany wypadek rozstrzygnął moje wątpliwości. Baba, która rozwieszała bieliznę na strychu, znalazła stary koszyk pełny wiórow, śmieci i książek. Cały dom znał moje zamiłowanie do czytania. — Moja kluczniczka w tej samej chwili, gdy siedząc przed otwartym zeszytem gryzłem pióro i myślałem o próbie kazań dla chłopów, z triumfem przydzwigała koszyk do mego pokoju, wykrzykując radośnie: „książki! książki!” — Książki! — powtórzyłem z zachwytem i skoczyłem ku koszykowi. W istocie, ujrzałem całą masę książek w zielonych i granatowych papierowych obwolach — był to zbiór starych kalendarzy. — Ostudziło to nieco mój zachwyt, byłem jednak zadowolony z przypadkowego odkrycia, bądź co bądź były to książki, i hojnie wynagrodziłem gorliwość praczkę srebrną półrubłową.

Zostawszy sam, zacząłem przeglądać kalendarze i wkrótce zaprzętnęły one całą moją uwagę. Składały się z nieprzerwanego łańcucha roczników od 1744 do 1799, a więc obejmowały równo okres 55 lat. Niebieskie arkusze papieru, wzywane zazwyczaj w kalendarze, całe były zapisane staroświeckim pismem. Rzuciwszy wzrokiem na te karty, ze zdumieniem ujrzałem, że zawierały one nie tylko uwagi o pogodzie i rachunki gospodarskie, lecz również krótkie historyczne wiadomości o wsi Goriuchino. Natychmiast zająłem się badaniem tych drogocennych zabytków i wkrótce doszedłem, że przedstawiają one pełną historię mej ojcowizny na przestrzeni prawie całego stulecia, wyłożoną w najbardziej surowym, chronologicznym porządku. Prócz tego zawierały one niewyczerpany zasób ekonomicznych, statystycznych, meteorologicznych i innych uczonych obserwacji. Od tej pory zająłem się wyłącznie studiowaniem tych zapisów, albowiem dostrzegłem możliwość zbudowania z nich harmonijnej, ciekawej i pouczającej relacji. — Zaznajomiwszy się dostatecznie z tymi cennymi pamiątkami, zacząłem szukać nowych źródeł dla Historii Wsi Goriuchino — i wkrótce zdumiała mnie ich obfitość. Poświęciwszy całe sześć miesięcy na wstępne badania, przystąpiłem wreszcie do dawno upragnionej pracy — i z pomocą boską dokonałem jej 3 października 1827. Dziś, tak jak pewien podobny do mnie historyk, którego nazwiska nie pamiętam, skończywszy swoją trudną pracę, odkładał pióro i ze smutkiem idąc do ogrodu rozmyślał o tym, czego dokonał. Wydaje mi się, że napisałszy Historię Goriuchina, nie jestem już więcej potrzebny światu, że spełniłem swój obowiązek i że czas mi już spocząć!

Podaję tu spis źródeł, którymi posługiwałem się przy układaniu Historii Goriuchina: 1) Zbiór starych kalendarzy. 54 części. Pierwsze 20 części zapisane staroświeckim charakterem pisma z tyłkami. Kronikę tę spisał mój pradziad, Andrzej Stiepanowicz Bielkin. Odnacza się ona jasnością i doświadczeniem stylu, na przykład: „4 maja. Śnieg. Triszka wziął w skórę za grubiaństwo. 6 — padła graniata krowa. Sienka dostał baty za pijaństwo. 8 — pogoda jasna. 9 — deszcz i śnieg. Triszka dostał lanie z powodu niepogody. 11 — pogoda jasna. Prószy śnieg; zaszczełum trzy zajace” i temu

podobne, bez żadnych rozważań... — Pozostałe 35 części pisane są różnymi charakterami pisma, przeważnie tak zwanym sklopikarskim z tyłkami i bez tyłków, a w ogóle obficie, bez związku i bez zachowania ortografii. Od czasu do czasu występuje kobiecy charakter pisma. Do tego działu należą zapiski mego dziadka Iwana Andrejewicza Bielkina i babki mojej, a jego małżonki, Eu-praksji Aleksiejewny — a także uwagi rzące Gorbowskiemu.

2) Kronika goriuchinowskiego diaczka. Ciekawy ten rękopis odnalazłem u mego popa, ożenionego z córką kronikarza. Pierwsze arkusze były wydarte i użyte przez dzieci popa na tak zwane latawce. Jeden z nich upadł pośrodku mego podwórza, podniosłem go i chciałem zwrócić dzieciom, gdy zauważyłem, że był cały zapisany. Przy pierwszych zaraz wierszach stwierdziłem, że latawiec zrobiony był z kroniki — na szczęście zdążyłem ocalić resztę. Kronika ta, którą nabyłem za ćwiartkę owsa, odnacza się gębkimi myślami i niezwykłym wielosłowiem.

3) Ustne podania. — Nie gardziłem żadnymi wiadomościami. Szczególnie jednak wiele zawdzięczam Agraferie Trifonowej, matce wójta Awdieja, która, jak powiada, była kochanką rządcy Gorbowskiemu.

4) Spisy kontrolne poddanych z uwagami dawnych wójtów (księgi rachunkowe i rozchodowe) dotyczącymi moralności i stanu majątkowego chłopów.

Kraina, od swojej stolicy biorąc nazwę Goriuchino, zajmuje na kuli ziemskiej obszar 240 dziesięcin, liczba mieszkańców do-



Pushkin w Archangielsku.

A. Krawczenko (drzeworyt)

sięga 63 osób. Na północy graniczy ze wsiami Drzuchowem i Perkuhowem, którego mieszkańcy są ubodzy, chuderlawi i niskiego wzrostu, a pyszni posiadacze oddają się wojowniczym ćwiczeniom polowania na zające. Na południu rzeka Siwka odgranicza ją od posiadłości wolnych rolników Kara-czewskich — sąsiadów niespokojnych, znanych z gwałtowności i okrucieństwa charakteru. Na zachód otaczają ją pola zacharinskich, kwitnące w dostatku i pomyślności pod władzą mądrych i oświeconych posiadaczy ziemskich. Od wschodu graniczy ona z dzikimi, niezamieszkałymi okolicami, z nieprzebytym bagnem, gdzie rośnie tylko żółtawina, gdzie rozlega się jedynie jednostajne kumkanie żab i gdzie wedle przesądnej wieści gminnej znajduje się siedlisko diabła. Nb. bagno owo dlatego też nazywa się **Diabelskim**. Ludzie twierdzą, jakoby pewna przysłupia pastuszka pała stado świń w pobliżu tego miejsca. Zaszła ona w ciążę i w żaden przekonujący sposób nie umiała wyjaśnić tego wypadku. Lud przypisał winę diabłu z bagna — lecz bajka ta niegodna jest uwagi historyka i po Niebuhrze byłoby niewybaczalnym błędem dawać temu wiary.

Od starożytnych czasów Goriuchino słynęło ze swej żyzności i dobrośliwego klimatu. — Na jego obfitych niwach rodzi się żyto, owoce, jęczmień i gryka. Brzozowy gaj i sosnowy las zaopatrują mieszkańców w drzewo i susz na budowę i opalanie domów. Nie brak również orzechów, żórawin, borówek i jagód. Rośnie tu niezwykle obfitość grzybów; duszone w śmietanie stanowią one smaczne, choć niezdrowe pożywienie. Staw pełen jest karasi, a rzeka Siwka obfituje w szczupaki i miętusy.

Tryb rządów w Goriuchinie zmieniał się kilka razy. Na zmianę pozostawało ono pod władzą wybranych przez lud wójtów, rządców wyznaczonych przez właścicieli i wreszcie bezpośrednio pod dłoń samych posiadaczy. Dobre i złe strony tych różnych sposobów rządzenia zostaną wyjaśnione w dalszym ciągu mej relacji.

Mieszkańcy Goriuchina są przeważnie wzrostu średniego, budowy mocnej, na schwał i mężnej, oczy mają szare, włosy jasne lub rzyse. Kobiety odznaczają się zadartymi nieco w górę nosami, wypukłymi policzkami i okazalnością.

Nb. **zdrowe babsko**, wyrażenie owo spotyka się często w uwagach wójta do spisów kontrolnych chłopów.

Mężczyźni odznaczają się dobrym charakterem, zamiłowaniem do pracy (zwłaszcza na własnej roli), są odważni i wojowniczy: wielu z nich chodzi w pojedynkę na niedźwiedzia i słyną w okolicy jako zapasnicy na pięści. Kobiety prócz robót domowych dzielą z mężczyznami większość ich pracy i nie ustępują im w odwadze; rzadko która z nich boi się wójta. Tworzą one silną straż obywatelską, która bez zmruczenia powiek czuwa na pańskim podwórzu i noszą nazwę **kopiejszczy** (od słowiańskiego wyrazu kopia). Głównym obowiązkiem kopiejszczy jest jak najczęściej walić kamieniem w żelazną deskę i w ten sposób wystraszać złoczyńców. Są one równie cnotliwe jak i piękne; na zakusy zuchwałców odpowiadają w sposób surowy i wyrazisty. Mieszkańcy Goriuchina od dawna prowadzą obfity handel lykiem, kobałkami i łapciami. Sprzyja temu rzeka Siwka, przez którą na wiosnę przepływają, podobnie jak starożytni Skandynawowie, na czółnach, a którą w innych porach roku przebywają w bród, uprzednio podwinąwszy portki do kolan.

Język goriuchinowski jest stanowczo jedną z gałęzi języka słowiańskiego, lecz różni się od niego tak samo, jak język rosyjski. Pełen jest skrótów i nieodmówień — niektóre dźwięki w ogóle w nim zanikły lub też zastąpione zostały przez inne. Jednakże Rosjanin łatwo może zrozumieć goriuchinowca i na odwrót.

Mężczyźni żenili się zazwyczaj w trzynastym roku życia z dziewczętami dwudziestoletnimi. Żony były swych mężów w ciągu czterech lub pięciu lat. Po czym mężowie zaczynali bić żony; w ten sposób obie płci

W subtelności nie ustępują one egiptom słynnego Wergiliusza, a pięknnością obrazowania znacznie przewyższają idylle pana Sumarokowa. I pomimo, że w piękności stylu ustępują najnowszym utworom naszych muz, to jednak dorównują im zarówno pod względem wymyślności jak i dowcipu.

Jako przykład przytoczymy następujący wiersz satyryczny:

Na dwór pana — bojarzyna
Idzie Antoni karbowy,
Łaskę niesie karbowaną,
Swemu panu ją podaje.
Bojar tylko patrzy na nią,
Nie się na niej nie wyznaje.
Ach, ty Antoni karbowy,
Kradłeś dobro bojarowe,
Na żebry żeś wieś całą puścił,
Żonę swą dostatkiem maścił.

Zaznajomiwszy w ten sposób mego czytelnika z etnograficznymi i statystycznymi wiadomościami o Goriuchinie, jak również z charakterem i obyczajami jego mieszkańców, przystąpimy teraz do jego dziejów.

CZASY BAJECZNE — WÓJT TRIFON

Początki Goriuchina i jego pierwotna ludność odkryte są mrokiem niewiedzy. Nieznane podania głoszą, że niegdyś Goriuchino było bogatą i obszerną wsią, że wszyscy jego mieszkańcy byli zamożni, że czynsz zbierano raz do roku i odsyłano nie wiadomo dokąd na kilku wozach. W tych czasach wszystkie kupowano tanio, a sprzedawano drogo. Rządców nie było, ekonomi nikogo nie krzywdzili, krajowcy pracowali niewiele, a żyli w dostatku i pastuchowie w butach paśli stada. Nie powinniśmy dać się zwodzić owemu czarującemu obrazowi. Myśl o złotym wieku wspólna jest wszystkim narodom i dowodzi jedynie, że ludzie nigdy nie są zadowoleni z tego co mają i, dzięki doświadczeniu, niewiele posiadając nadzieję na przyszłość, przyozdabiają niepowrotną przeszłość wszystkimi barwami swej wyobraźni. Wiarogodne jedynie wydają się rzeczy następujące:

Wieś Goriuchino od najdawniejszych czasów należała do znakomitego rodu Bielkinów. Jednakże przodkowie moi, posiadając wiele innych majątków, nie zwracali uwagi na ten odległy kraj. Goriuchino płaciło niewielką daninę i pozostawało pod rządami wójtów, obieranych przez lud na wiecu zwanym tloka.

Jednakże z biegiem czasu rodowe posiadłości Bielkinów rozdrobniły się i zaczęły się chylić do upadku. Zubożali wnukowie bogatego dziadka nie umieli odzwyczaić się od swych wielkopańskich nawyków — i żądali dawnych pełnych dochodów od dziesięciokrotnie zmniejszonego majątku. Groźne zalecenia następowały jedno po drugim. Wójt czytał je na wiecu, sołtysi przemawiali, lud się burzył — a dziedzice, zamiast podwójnego czynszu, otrzymywali chytre wykryty i pokorne skargi pisane na zatłuszczonym papierze i pieczętowane groszem.

Czarna chmura wisiała nad Goriuchinem, a nikt nawet o niej nie pomyślał. W ostatnim roku panowania Trifona, ostatniego wójta wybranego przez lud, w sam dzień święta cerkiewnego, gdy cały lud ciżbą otaczał gmach rozrywkowy, (w gwarze ludowej zwany karczmą) lub też wycelżył się po ulicach objawiając się wespół i głośno wypiewując pieśni Archipa Łysogo, wjechała do wsi plectona, kryta bryka, zaprzęgnięta w parę na wół żywych skzup: na koźle siedział obdarty Żyd — a z bryki wysunęła się okryta czapką głowa i zdawała się z ciekawością patrzeć na weselący się lud... Obywatele Goriuchina powitali brykę śmiechem i grubiańskimi dowcipami. (Nb. zwiąwszy w trąbkę poły odzienia szaleńcy nagrawali się z żydowskiego woźnicy i wykrzykiwali ze śmiechem: „Żydzie, Żydzie, zjedz świńskie ucho!”) **Kronika** diaczka goriuchinowskiego).

Lecz jakże się zdumieli, gdy bryczka zatrzymała się pośród wsi i gdy przyjezdny, wyskoczywszy z niej, rozkazującym głosem zaczął wzywać wójta Trifona. Dygnitarz ów przebywał w gmachu rozrywkowym, skąd go dwóch znaczących mieszkańców wsi z szacunkiem wyprowadziło pod rekę. — Nieznajomy spojrzawszy nań groźnie, podał mu list i nakazał, by go natychmiast przeczytał. Goriuchinowscy wójtowie mieli zwyczaj nędy nie nie czytać osobliście. Wójt był niepiśmienny. Poślano po pisarza ziemskiego Awdieja. Znalaziono go w pobliżu, gdy spał w zaułku pod płotem — i przyprowadzono go po przebudzeniu do nieznajomego. Lecz czy to z powodu nagłego przestachu, czy też z gorzkiego przeczucia, litery listu napisanego wyraźnym pismem wydały mu się jak za mgłą — i nie był w stanie w nich się rozeznąć. — Nieznajomy z okropnymi przekleństwami, odesławszy spać wójta Trifona i pisarza Awdieja, odłożył czytanie listu do dnia następnego i udał się do gminy, dokąd Żyd poniosł za nim jego walizeczkę.

Goriuchinowcy z niemym zdumieniem patrzyli na owo niezwykle wydarzenie; lecz wkrótce zapomnieli o bryczce, Żydzie i nieznajomym. Dzień skończył się hałaśliwie i wesoło — i Goriuchino zasnęło nie przewidyując tego, co je oczekiwało.

Ze wschodem porannego słońca mieszkańcy obudzili stukanie w okna i wzywanie na tloke. Obywatele schodzili się kolejno na podwórze gminy, które służyło za plac wiecowy. Ocy mieli mętne i poczerwieniałe, twarze opuchłe; ziewając i drapiąc się po głowach patrzyli na człowieka w czapce.

5) Dalej zakresłono: Pieśni te zaczerpnięte były przeważnie z rosyjskich pieśni ludowych, układanych przez żołnierzy, wiejskich pisarzy i służbę dworską, lecz przystosowane dość rzęcznie do charakteru goriuchinowców i do różnych okoliczności ich życia.

w starym niebieskim surducie, jak stał dumnie na ganku gminy — i starali się przypomnieć sobie jego rysy, które kiedyś już widzieli. Wójt i pisarz prowontowy Awdiej stali obok niego bez czapek, z miną pełną usłużności i głębokiego smutku. — „Czy są wszyscy?” — zapytał nieznajomy. „Czy wszyscy jeżdżecie?” — powtórzył wójt. „Wszyscy” — odpowiedzieli obywatele. Wówczas wójt oznajmił, że dziedzic przysłał uniwersał i rozkazał pisarzowi, aby go przeczytał głośno wobec całego ludu. Awdiej wystąpił na przód i grzmiącym głosem przeczytał rzecz następującą: (Nb. „Groźny ów uniwersał spisałem był u wójta Trifona, onże przechowywał go w szafce z obrazami świętych wraz z innymi pamiątkami swego panowania nad Goriuchinem”. Nie zdołałem sam odnaleźć tego interesującego pisma).

Trifonie Iwanow!

Doreczyciel niniejszego listu, mój pełnomocnik XX, jedzie do mojej majątności, wsi Goriuchino celem sprawowania nad nią rządostwa. Natychmiast po jego przybyciu należy zwołać chłopów i oznajmić im moją pańską wolę, a mianowicie: rozkazów mego plenipotentia XX mają chłopci słuchać jak moich własnych. Wszystko, czego zażąda, spełniać bez szemrania, gdyż w przeciwnym wypadku ma ów XX postępować z nimi z całą surowością. Do powyższego zmusiło mnie ich niegodziwe nieposłuszeństwo, a także twoje, Trifonie Iwanow, łotrowskie folgowanie.

Podpisano N. N.

Wówczas XX rozkraczywszy nogi na podobieństwo litery X i wzięwszy się pod boki wygłosił następującą krótką i wyrazistą mowę: „Uważajcie więc i nie bądźcie przy mnie zanadto mądrałami — wiem, że jesteście rozpustycznymi jak dziadowskie bicze, ale ja potrafię wybić wam z głowy głupstwa lepiej niż wczorajsze pijaństwo”. Pijaństwo wywieńtrzało już ze wszystkich głów. Goriuchinowcy, jak rażeni gromem, spuścili nosy na kwintę i z lękiem w sercach rozeszli się do domów.

RZĄDY PLENIPOTENTA XX

XX ujął ster rządów i przystąpił do wprowadzania w czyn swego systemu politycznego: system ów zasługuje na szczegółowe rozpatrzenie.

Zasadniczą jego podstawą był następujący pewnik: im chłop jest bogatszy, tym bardziej rozpustyczny — im biedniejszy, tym cichszy. Wskutek tego XX dbał o spokój w majątku jako o największą chłopską cnotę. Zażądał opisu majątności, chłopskiej, podzielił ich na bogatych i biednych. 1) Zaległości w czynszu zostały rozłożone na najbardziej majątnych chłopów i ściągane z nich w sposób możliwie najbardziej bezwzględny. — 2) Ubożsi i co leniwi hultaje zostali natychmiast przeniesieni na pańskie — jeśli zaś, wedle jego obliczenia, praca ich okazywała się niedosć wydajna, oddawał ich za parobków innym chłopom, za co tamci płacili mu dobrowolną daninę, oddawani zaś w poddaństwo mieli pełne prawo wykupić się płacąc ponad zaległości podwójny roczny czynsz. Wszelkie powinności gromadzkie spadały na majątnych chłopów. Świętem dla chłwiego rzadcy było oddawanie w rekruty, ponieważ wszyscy bogaci chłopcy wykupywali się od tego kolejno, póki wreszcie wybór nie padał na lajdaka lub na zrujnowanego²⁾.

Zgromadzenia ludowe zostały zniesione. — Czynsz XX zbierał po trochu, przez cały okragły rok. Prócz tego wprowadził on daniny nadzwyczajne. Chłopi, jak się zdaje, płacili nawet niewiele więcej niż poprzednio, lecz w żaden sposób nie mogli ani zapracować, ani też uciąć dość pieniędzy. W ciągu trzech lat Goriuchino zostało zrujnowane całkowicie.

Goriuchino posmutniało, rynek opustoszał, pieśni Archipa Łysego zamilkły. Połowa chłopów pracowała na Pańskim, druga połowa pracowała jako parobcy; dzieci poszły na zbry — i dzień święta cerkiewnego stał się, wedle wyrażenia kronikarza, nie dniem radości i wesela, lecz rocznicą smutku i gorzkich wspominków.

(1830—1831)

Aleksander Puszkina
tłum. Seweryn Pollak

²⁾ Zakut przelęty rzadca Antoniego Timofiejewa w żelaza — stary Timofiejew wykupił syna za sto rubli. Wtedy rzadca zakut Pietruszkę Jeremiejewa, a tego ojciec wykupił za 68 rubli, i chciał przeklećnik zakut Lechę Tarasowa, ale tamten uciekł do lasu — i rzadca wielce się tym smucił i srożył się na cały głos — a odwieziono do miasta i oddano w rekruty pijanicę Wańkę.

W OSTATNIM NUMERZE 25 (154)
z dnia 20 czerwca 1948r.

Anna Kamińska — Jak przed nami projektowano?; Roman Bratny — Wiersze; Maria Janion — Emigracja — Liga Narodowa; Piotr Chmura — Wojciech Breowicz; Wojciech Breowicz — Wiersz — Do przyjaciół w Ojczyźnie; Jan Aleksander Król — Model: Chłopi — Panowie; Stanisław Cieślak — Gospodarcze planowanie przestrzenne w Polsce; Zdzisław Skwarczyński — Rezerwat zmierzającej klasy i jej satelici; Stanisław Pięta — Niebezpieczeństwo; Wiktor Woroszyński — Wiersz — Do twórcy; Witold Jedlicki — Zie. sumienie burżuazyjnej inteligencji; Jerzy Falenciak — Po tamtej wojnie; Fakty i zdania; Komunikaty; 13 ilustracji — 12 stron.

Semion Gudzenko

Na Ukrainie

co noc
gwiazdna szaleje zamieć.
Cichych strumieni

budzi lato

Myśmy

na gwiazdy

na słowiki

i pęki róż,
kiedy droga owijała nas szaleń,
kiedy w nozdrzach i gardłach —

Bardziej ceniliśmy tytoń,
wody źródlanej tyk.

Jeszcze dziś, ledwie oczy zamykam,
widzę szlak stepowy wśród mgły,
bucłory, co kurzem obrosły,
depcąc ścierniska czarne.

Tak

z gubionego losu
szukała armia.

Nie śmie oczu od stóp swych podnieść
żaden mój przyjaciel — samotnik —

2.

Wraz z nami,
gdy pułk się cofał,
(w tornistrze, u ziomka na plecach)
wędrował sztandar pułkowy,
który zdarliśmy z drzewca.
Na sztandarze —
sylwetka Lenina.

...Hej, ziemi przeszło się kęs —
żołnierskiej niedoli ile,
gorzkich zgryzot i klęsk!
Lecz na popasie —

paniętam —
stawaliśmy zawsze na baczność
przed purpurowym

nietkniętym,
bojowym sztandarem naszym.

Tak nam się wtedy zdawało:
trudny jest wojny gościniec,
zroćiono jeszcze za mało.

Edward Bagricki

BALLADA O SZTANDARZE

aby ten sztandar rozwinąć
i pod płachtą, kulami przebitą
wdzierać się w mury miast —
i maszerować

i witać

ojczyznę —

z ręką przy daszku.
Próżno chłopak rwie się do boju,
boi się, młody: nie zdąży.

Rzekł dowódca:

— Na swoją kolej

musisz poczekać, chorąży.

3.

Widać,

manierki

znowu
napelnimy po brzegi troską...
Miasto pod gradem bomb
opuszczało w milczeniu wojsko.
Niby od burzy,

okna

otwarte,

a słońce gra
na szkła tłuczonego kroplach,
co, jak rosa, zwisają z traw.
Konie

nieszczęścia nie pojmą —
boją się trupów,

rzą.

...Na placu,

wśród zburzonych domów

stoi Lenin —

ostatni żołnierz.

Oto

znana od szczęńczych lat

ręka,

co w przyszłość mierzy.

(Przypomniałem sobie
rozdartego granatem
dowódcę pułku moździerzy).

Oto one,

oczy Leninowe —

głębokie,

mądre.

(Przypomniałem sobie
patrzących surowo
starców w opuszczonym Homlu).

Oddawaliśmy,

przechodząc obok,

żołnierzowi największemu

cześć.

(Przypomniałem sobie
przyjaciół groby,
niebale kopane pod Brześciem).

I wtedy

zawziętość wściekła

gardła ścisnęła tak —
Niemcy zaczęli uciekać
po pierwszym kontrataku.

Razem z nami

szedł

Lenin,

krzepiąc żołnierzy,

jak zawsze.

...Myśmy sztandar swój rozwinęli,
by iść

pod sztandarem

naprzód.

4.

Znowu śnieg.

Trzeci śnieg.

Trzeci rok.

Tam, gdzie wojnę

nasz pułk zaczynał,

od Wołgi

prowadzi droga

poprzez Dniepr,

za Desną,

nad Dźwinę...

Kraj ten

dobrze znamy

od czerwca.

Kurz gorący

zapierał dech,

gdy spotkaliśmy Lenina

rwąc z drzewca

sztandar,

nienawiść,

gniew.

Oto ona,

znajoma dłoń,

przepaść oczu —

świadców tylu bitw.

...Na pancerce generał

o siwej skroni

stałowski rozkaz

nam czyta...

tłum. Kazimierz Andrzej Jaworski

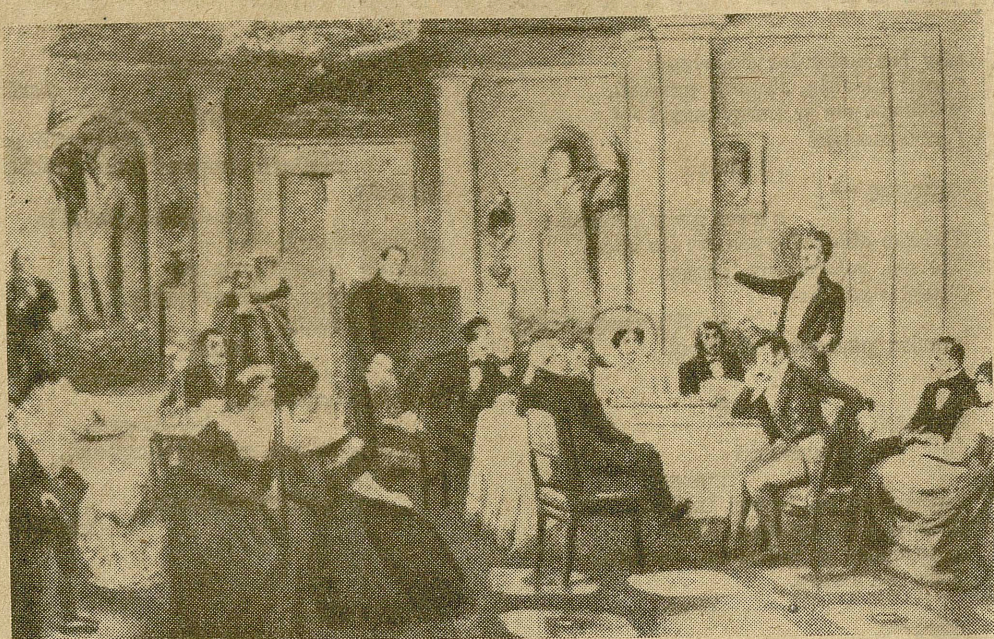
DYL SOWIZDRZAŁ

Wiosenny ranek. Na oścież otwarte
kuchenne drzwi, zza których ciężki swąd
płyne na zewnątrz. A tam w kuchni ścisk:
ociera twarz swą rozpalony kucharz
fartuchem, w którym widać pełno dziur,
do filiżanek zerką i do rondli,
podnosząc lekko miedziane pokrywki,
ziewa szeroko i dorzuca węgli
pod płytę, z której i tak bucha żar.
A w papierowym kołpaku kuchareczek
niezdarny jeszcze w trudach pracy tej
wdrapuje się ku półkom po drabince,
w moździerzu tłucze cynamon i muszkat,
rękoma myli niedoświadczonymi
korzenie w puszkach, krztusi się od swądu,
co w nozdrza wpelza, wyciskając łzy
z czerwonych ocz.

A dzień wiosenny, jasny.

jaskółek świr się zlewa z brzękiem rondli
i filiżanek na kuchni. Kot mruczy
i oblizuje się, ostrożnie pod krzesłami
skradając się ku miejscu, gdzie go nęci
kęs wołowiny, co ze stołu spadł,
pokrytej cienką smaczną warstwą tłuszczu.
Królestwo kuchni! Któż wysłowił dość
twój siny swąd nad mięsem, co się smaży,
twa lekką parę ponad złotem zup?
Kogut, którego, być może, już jutro
uśmierci kucharz, wyśpiewuje chryple
wesół hymn na cześć przepięknej sztuki,
zarówno trudnej, jak i dobroczynnej.
Ja po ulicy chodzę w taki dzień,
na dachy patrząc i czytając wiersze, —
w oczach słoneczne plamy, zawrót głowy,
głowy szalonej, w której szumi chmiel,
i swąd wdychając przypominam sobie
tego włóczęgę, co jak ja, być może,
pośród antwerpskich ulic kręcił się...
Co umiał wszystko i niczego nie znał,

rycerz bez szpady i bez sochy rataj.
Może i on jak ja tak rzewnie wdychał
z karczmy snujący się wesół swąd;
może i jego jak i mnie tak samo
nęcił wędzony boczek i też chciwie
polykał gęstą ślinę jak i ja.
A dzień wiosenny słodki był i jasny
i dłońią swoją macierzyńsko-ciepłą
rozwiązane włosy targał młody wiatr.
I o drzwi karczmy oparty podróżny,
wesół człowiek, on jak ja, być może,
pod nosem nucąc, szukał sobie słów
do pieśni, której jeszcze nie wymyślił...
Cóż z tego? Niechaj będzie mi sądona
włóczęga wieczna i wieczna swawola,
niech głodny stoje u drzwi wonnych kuchni
wdychając zapach ucztowania obcych,
niechaj się w strzępy zmieni me ubranie
i buty podre o kamienie ostre,
niechaj zapomnę, jak się składa pieśni.
Cóż z tego? Nęci mnie rzecz zgola inną...
Jak ten włóczęga niechaj przejdę kraj,
przy każdych drzwiach niech stanę uśmiechnięty
i jak skowronek zaświszczę wesół,
a wnet odpowie mi radosny kur!
Piewca bez lutni, żołnierz bez oręża,
spotkam dni przyszłe jak czary po brzeg
miodem złocistym, mlekiem wypełnione.
A gdy zmęczenie już owładnie mną
i zasnę śmierci najmocniejszym snem, —
niech na nagrobku herb mój narysują:
pielgrzymi kij z jesiona wystrugany
nad ptakiem, nad szerokim kapeluszem.
I niech napiszą: „Tu spoczywa cicho
wesół pątnik, co nie umiał plakać.
Przechodniu! Jeśli ukochałeś też
wiatr i przyrodę, pieśń i wolność świętą,
powiedz mu: Spij spokojnie, towarzyszu,
dosyć śpiewałeś, czas już teraz spać!”



Improwizacja Mickiewicza w salonie Zenaidy Wołkońskiej. Po przeciwległej stronie stołu A. Puszkina. (Obraz Miasojedowa)



Adam Mickiewicz 1828
malował Oleszkiewicz

Leon Gomolicki

MICKIEWICZ I PUSZKIN^{*)}

1.

KWIATY PÓLNOCY

Włożywszy nowy brązowy surdut o wąskich rękawach i wysoko podniesionych ramionach, baron Delwig przetarł okulary uperfumowaną chusteczką i uważnie spojrzął w lustro. Uśmiechnął się do świeżo wygolonego sobowtóra, który pulchną ręką poprawiał angielski krawat i sterczące konce kołnierzyka. Wszystko dookoła barona było nowe. Nowa posada w ministerstwie, nowe mieszkanie przy ulicy Bolszaja Milionnaja, dokąd się przeniósł przed miesiącem natychmiast po ślubie. Miodowy miesiąc urozmaicały zajęcia literackie. Razem z księgarzem Sloninem Delwig przygotowywał drugą książkę „Kwiatów Północy” („Siewiernyje Cwiety”). Pierwsza książka almanachu stała się przyczyną waśni pomiędzy Delwigiem a Rylejewem i niespodzianie zbliżyła barona do niedawnych nieprzyjaciół literackich.

Slonin, księgarz petersburski, którego antykwarjat był czymś w rodzaju klubu literackiego, rok temu jeszcze współpracował z Rylejewem, wydając mu „Gwiazdę Polarną”. Wśród zakurzonych stosów dzienników i pierwodruków z czasów Piotra I i Katarzyny, siedząc na dziełach Triediakowskiego, Rylejew układał tu wówczas wspólnie z właścicielem księgarni plan swego almanachu. W zamyśleniu maczał gęsie pióro w piasecznicy zamiast w kałamarzu, rozważając uwagi kupca. Nie był to zresztą zwykły kupiec. Nosił bokobrody i w ubraniu naśladował stołecznych dandysów, mimo że strój taki mało odpowiadał jego zajęciom. Surdut miał pobrudzony kurzem, a cybucha tureckiej fajki używał zamiast dyscypliny, dając nauczkę subiektywnym pijanicy. W inkrustowanym sekretarzyku zawalonym rachunkami, starymi sztychami i luźnymi kartkami zdekompletowanych książek, przechowywał gruby sztabuch, na kartkach którego wpisywali wiersze goście księgarni. Cztery lata później Puszkina wpisał do niego wiersz sztabuchowy, zaczynający się od słów: „Nie lubię modnych imionników...”. „Kochasz władczynię Helikonu, — zwracał się w nim do Slonina, — i one pamiętają o tobie”.

Była to aluzja do nałogu rymowania, któremu ulegał Iwan Slonin naśladowując wszystkie znane mu kierunki poetyckie. Stąd pochodziły jego namietności wydawcy, nie zawsze korzystne dla przedsiębiorstwa. Ale w wypadku Rylejewa Slonin się nie zawiodł. Polityczne akcenty wzniosłej archaizowanej liryki młodych romantyków miały wyjątkowe powodzenie. „Gwiazda Polarna” rozeszła się w takiej ilości, jak żadne pismo dotychczas. Więc Rylejew postanowił trzecią książkę almanachu wydać własnym kosztem, zrywając z księgarzem. Postąpił zbyt pochopnie, ponieważ powodzenie „Polarnej Gwiazdy” spowodowało do Slonina rywali amatorów. Najpoważniejszym wśród nich był baron Delwig, kolega Puszkina z ławy szkolnej. Miał on rozległe znajomości literackie, obrażał się w różnych środowiskach, a najbliższymi byli związani z salonem Zofii Ponomariowej, siostry kolegi z liceum, poślubionej zamożnemu kupcowi. Dom jej łączył środowisko artystycznej burżuazji z cyganerią artystyczną. Panował tu eklektyzm upodobań literackich. Na czele towarzystwa występował grubas Izmaïłow, bajkopisarz i autor powieści obyczajowych o moralizatorskich tendencjach. Do młodzieży w tym kole należeli Delwig i Barański.

Układając pierwszą książkę almanachu, który nazwał „Kwiatami Północy”, Delwig nie miał zamiaru tworzenia z niej organu jakiegokolwiek koterii literackiej, ani tym bardziej ugrupowania ideologicznego. W przeciwnieństwie do koła Rylejewa potraktował wydanie jako zbiór materiału, niezłączonego specjalnie cementem myśli i ujednolnionej estetyki. W księgarni Slonina wypił bruderszaft z Izmaïłowem, zagryzając żytnim pieczykiem z cebulą.

Działo się to wszystko w przeddzień przyjazdu Mickiewicza do Petersburga. Powódź, która wstrzymała druk obydwoh złożonych już almanachów — Rylejewa i Delwiga — nie przeszkodziła obrotom kupcowi. Mimo że arkusze „Kwiatów” zostały zalane w piwnicach drukarni, almanach ukazał się na początku 1825 roku, wyprzedzając „Gwiazdę Polarną”. Na próżno Somow w liście do Rylejewa ironizował, pisząc: „Kwiaty północy podmokły w swoich cebulkach i nie przedko rozkwitną; Aleksander (Bestużew) mówi, że dawniej były one zbyt zwiedle, obecnie są zanadto wodniste”. Delwig triumfował, przygotowując nowy tom periodyku. Tego rana, od którego zaczęliśmy nasze opowiadanie, baron miał pójść po odpowiedź do cenzury.

Delwig przesunął emaliowaną tabakierę, na której wśród obłoków i znaków zwierzyńca niebieskiego dwa gołąbki ciągnęły powóz bogini miłości i otworzył kalendarz. Na rok 1825. Był to jeden z nielicznych otaczających młodego pana przedmiotów, który nie mógł pochwalić się młodym wiekiem: pierwsza połowa grudnia dobiegała końca. Delwig przekreślił (lublił porządek) dzień wczorajszy — niedziela trzynastego i napisał niżej, naprzeciw 14 grudnia: „od... — miał zamiar wpaść po drodze do Odojewskiego po wiersze. Nie wiedział, że tego rana przyjaciel-poeta wyszedł na plac Senatu. Kiedy później nieco zapukał srebrną rączką łaski do jego drzwi Odojewski już był aresztowany.

Na ulicy mimo rozłargnienia Delwig zauważył niezwykle ruch. Grupy przechodniów gestykulując w dziwnym podnieceniu szły przyspieszonym krokiem w jednym kierunku. Z ciekawości Delwig włączył się w ogólny nurt, który wyniósł go na zaśnieżony plac pałacu Zimowego. Tu przed wspaniałym rococowym gmachem pałacu ruch był zatamowany. Stały jakieś oddziały wojskowe, przejeżdżał konno oficerowie. Delwig wiedział, że pułki składają przysięgę Mikołajowi, ale wiedział również, że miało to się odbyć w koszarach. Nie zatrzymany przez nikogo swobodnie przeszedł na sąsiedni plac Senatu, gdzie miedzianny olbrzym Piotr I wspiął ręką do dziejowego skoku. Zwykle pusty plac był zatłoczony. Gapię otaczali żołnierskie szpalery stojące dookoła pomnika. Delwiga uderzył dziwny bezruch i milczenie tej masy ludzkiej. Z oficerów spostrzegł jedynie znajomego księcia Szczepina-Rostowskiego z korpusu lejbgwardii moskiewskiego pułku. Jak dowiedział się później, spiskowcy poszli ogrzać się do cukierni na rogu ulicy Wozniesińskiej. To, co widział, było słynnym „stanem”, biernej rewolucji dekabrystów.

Delwig w naiwności pochodził wzdłuż placu i wrócił przed pałac Zimowy. Tu znalazł się w odległości dwóch kroków od grupy jeźdźców, wśród których poznał wczorajszego wielkiego księcia, a dzisiejszego cara — Mikołaja Rys pośpiej stanowiącego potęgował wyraz pychy na jego twarzy. Mówił coś rozkazującym głosem. Delwigowi wydało się, że Mikołaj rozkazywał sprowadzić armatę. Dopiero teraz redaktor „Kwiatów Północy” poczuł się nieswojo. Szybko wycofał się z tłumem i zaniechawszy uplanowanego rozkładu dnia pośpieszył do domu. Kiedy wchodził do pokoju żony, czwby w oknach drgnęły od pierwszych salw armatnich.

O tych to armatach mówił Herzen, że obudziły one do życia nowe pokolenie, które miało zastąpić inną, bardziej realną, walkę z caratem. Wówczas pociski ich kruszyły moc rosyjskiej frondy, niszczyły nadzieje romantyków politycznych. Dobroduszny wyznawca uromantycznionego, klasycyzmu w duchu Goethego, „teokrytów” — wywodzący się z Teokryta, jak go nazywał Polewoj — Delwig stał się bezwiednie naocznym świadkiem wydarzeń, które ostrzem bagnetu mikołajewskiego przecięły rozwój społeczeństwa rosyjskiego. Po salwach nastąpiły lata przynębiającej ciszy reakcji. Wypierając się jakichkolwiek związków z dekabrystami Delwig pisał do Barańskiego w liście z 8 stycznia 1826 roku:

„Od tego czasu jak milczysz lub tłumaczysz się brakiem czasu, ileż zmian przeszło przed oczyma twojego przyjaciela. Ile okropności! Ale chwała Bogu, koniec był szczęśliwy dla Rosji i z radością wieszuję ci nowego roku i nowego cesarza... Napisz do mnie o Parnasie moskiewskim, mam nadzieję, że nie został spustoszony jak nasz petersburski. Nasz głównie skutkiem marnej próżności. Kiepscy pisarze zapragnęli być jeszcze gorszymi władcami. Mieli zamiar podarować nam taki porządek, od którego trzeba byłoby tylko uciec na kraniec świata. Czyżby to była sprawa spokojnych muz uzbrajać się w pochodnie powstania narodowego? Niech by już w teatrze odgrywali bunt przeciwko zakulisowemu tyranom, aby sprawić przyjemność sobie i publiczności. Przelewałiby strumienie atramentu w walkach dziennikarskich, spokojnie wierząc prawodawcom klasycznej lub romantycznej szkoły!...”

Bezbarwne „Kwiaty Północy” kwitły na opuszczonym Parnasie petersburskim. Nie nie tłumio ich swobodnego rozwoju. „Gwiazda Polarna” zgasała razem z nadzieją przewrotu politycznego. Jej redakcja została rozproszona: większość poszła na zesłanie, Rylejew zaś wisił na szubienicy. Nastały czasy sprzyjające apolitycznym literackim wydawnictwom, do których należał periodyk Delwiga. Praca redakcyjna była łatwa i przyjemna. Materiał dobierano na zebraniach w salonie redaktora, odbywających się dwa razy na tydzień: w środy i niedziele. Główne nasilenie tego życia towarzysko-literackiego przypada na lata 1826—1829, kiedy częstym gościem był w Puszkina. Najprawdopodobniej tu u Delwiga usłyszał Mickiewicz po raz pierwszy „Borysa Godunowa”, czytane przez samego autora.

„Przyjęte wówczas wieczory literackie, — wspomina W. Gajewski w „Sowremenniku” z roku 1854, — szczególnie często odbywały się u Delwiga. Wiersze i prozę przysyłane Delwigowi do jego almanachu czytano i omawiano w tych przyjacielskich pogawędkach, tu zwykle czytano nowe utwory Puszkina, Barańskiego i Żukowskiego. Na jednym z takich wieczorów Puszkina czytał swoją „Komedie o carze Borysie i Grisie Otriepiewie”. Na tym wieczorze obecny był Mickiewicz. Za radą Delwiga i Mickiewicza, Puszkina wyłączył ze swej tragedii scenę pomiędzy Grigoriem i złym mnichem. Wyłączona scena, według mniemania obydwoh poetów, zmniejszała wrażenie, jakie pozostawiała opowiadanie Pimena”.

Petersburg przyciągał Mickiewicza możliwościami zorganizowania projektowanego polskiego pisma literackiego „Iris”. Poza tym nie widział on innego miejsca, gdzie by mógł wydać nowy poemat. Po Moskwie, gdzie życie literackie było skoncentrowane w zwalczających się wzajemnie obozach „Telegrafu” i „Więsnika”, stolica północna zrobiła wrażenie cmentarza. Przyjęta polskich wędrowników zimowa niesamowita ślota. Zdawało się, że jeszcze dym powstania unosi się w mgłę okrywającej ulice. Malewski pisał do domu:

„Śpieszę wam donieść, że od przeszłej niedzieli (4 grudnia 1827) już osiadł w Petersburgu, gdzie po niesłychanym błocie zwiłaj się. To błoto, to niebo ciągle pochmurne, te dżdżki, te sanki, te białe chustki i rękawiczki, przedpokój i ta mina suplikanta, wszystko tak mię obalamucilo, że radę sobie dać nie mogę”.

Z polecającym listem Wiazemskiego Mickiewicz trafił do Żukowskiego, który wprowadził go do domu Delwigów. Autor „Światłany” przyjął Mickiewicza ze wstrzemięźliwą życzliwością. Przykładając do ust chustkę koronkową czytał polecające słowa Wiazemskiego: „W tych dniach pisałem do ciebie o Mickiewiczu. Zlituj się, pokochaj go i poproś, żeby ci przeczytał i przetłumaczył dosłownie coś ze swego nowego poematu”. Cisza wysokiej sali, lustra i błyszczące parkiety, portret Goethego na ścianie z własnoręcznym podpisem, wszystko to otaczało poetę-dostojnika chłodną uroczystością. Mickiewicza uderzyło, że nie był on wiele wyższy od Puszkina. Łysiejące wypukłe czoło, długi surdut z gwiazdą — Żukowski wybierał się na dworskie przyjęcie, — pocciwy uśmiech zagubiony w pulchnych wargach, wystudiowana postawa dostojnika: — więc taki był ojciec ballady rosyjskiej, o posępnej fantazji i nadmiernej uczuciowości! Z ballady pozostały jedynie powiew ementarszysa zmieszany z zapachem fiołków i cisza grobowa.

Niemniej Żukowski okazał Mickiewiczowi wiele życzliwości, wspierając poetę w ciężkich chwilach i występując jako jego orędownik. Później zawiązała się między nimi taka przyjaźń, że kiedy Żukowski wyjeżdżał w świat carskiej do Warszawy na uroczystości koronacyjne, Mickiewicz skierował go do swoich przyjaciół. Sporządził dla orientacji Żukowskiego szczegółowe charakterystyki, a do Odojewskiego pisał: „Pan Żukowski musi być w Warszawie. Udaj się zaraz do niego. On żył ze mną w przyjaźni i wie o tobie. Zaprowadź go do Joachima, do Niemcewicza, bądź mu ciceronem”.

Po ciszy domu Żukowskiego, w którym królował duch olimpijczyka z Weimaru, salon Delwigów wydawał się szumną idyllą nie tyle teokrytową, ile po prostu mieszczańską. Było w nim tłoczno i gwaro. Goście grali i śpiewali wszystko od Haendla i Mozarta do piosenek sentymentalnych i ludowych, które Delwig naśladował w swoich utworach lirycznych. Tańczyli i czytali wiersze, pili i grali w karty, a sam gospodarz demonstrował różne sztuki prestidigitatorskie, do bruchomówstwa włącznie. Delwig lubił ekstrawagancję, lubił bawić się i bawić towarzystwo. Dom jego nie skupiał wielkości współczesnych — czołowych działaczy politycznych lub dygnitarzy literatury. Z literatury, prócz Puszkina, bywali tu jego wydawca i nieudany poeta Pletniow, książę Włodzimierz Odojewski, Barański, tacy początkujący poeci jak Podolinski, Rosen i pierwsi tłumacze Mickiewicza: Szczastny i Illiczewski. Somow także od pewnego czasu należał do grona jego współpracowników. Nie były to talenty wybitne; utworami swoimi tworzyli to elegijno-sztambuchowej poezji, na którym powstała intymna liryka puszkiniowska i pełna refleksji liryka Barańskiego.

Szewyriow w liście do Pogodina wypowiadał niezbyt pochlebną opinię o tym towarzystwie. Pisał odwieczny w Petersburgu salon Delwiga: „Wczoraj spędziłem wieczór u Delwiga. Widziałem dużo petersburskiej hultej literackiej. Ileż tu kalectwa! Jakież głupi jest Somow!... Podolinski smarkacz nadej przez kadzących mu panegirystów miejscowych i Polewoja...”. Tematów politycznych starannie tu unikano w obawie przed agentami III Wydziału, którymi bywali także literaci.

^{*)} Fragment z książki o pobycie Mickiewicza w Rosji.

Wśród tego gwaru ukazywała się postać Puszkina, takiego, jakiego poznał Morawski. Zakłopotany zagmatwaną sytuacją, w którą został zawiązany po powrocie z zesłania, pochłonięty troskami, Puszkina zapomniał o swoim dawnym wyglądzie „dandy angielskiego”, chodził zaniedbany na wykrzywionych obcasach, rozczochrany, z oczyma czerwonymi po nieprzespanych nocach, zmarnowanych przy kartach. Poróżniewszy się z lubomudrami widać dookoła siebie samych wrogów, z którymi rozprawiał się ciętymi epigramami i uszczypliwym dowcipem. U przyjaciół i w domach znajomych często spotykał Mickiewicza. Z początku poeci nie znajdowali wspólnego języka. Puszkina lubił tusty żart i pospolite powiedzonka. Mickiewicz brzydził się nimi. Ale obydwa byli pełni wzajemnego szacunku i podziwiali wzajemnie swoją twórczość. Mickiewicz przywiózł do Petersburga rękopis skończonego w Moskwie „Konrada Wallenroda”. Rękopis ten widział Puszkina, dowodem czego jest to, że jeszcze w grudniu 1827 roku, przed ukazaniem się poematu w druku, przetłumaczył jego wstępne wiersze. Mickiewicz w tymże okresie przełożył elegię Puszkina „Przypomnienie”.

W domu Delwiga Mickiewicza przyjęto z wielką życzliwością i sympatią. W kołach biurokratycznych poeta cieszył się najlepszą opinią. Szef wywiadu politycznego i cenzury von Fok w raporcie do Benkenhoffa nazywał poetę „cichym i skromnym człowiekiem, pod względem moralnym i politycznym zachowującym się doskonale” i uważał, że Mickiewicz „najzupełniej się wyleczył ze swej szkolnej polityki”. Mniejsza z tym, że było to w czasie, kiedy „Konrad Wallenrod” roznosił już po ziemiach polskich idee odwetu politycznego. Oficjalna opinia zapoczątkowana przez generała Witta była nader przychylna dla autora poematu. Nie mogły jej nawet zatrzeć wznawiane przestrogi Nowosilowa. Był więc on pożądanym gościem w lojalnych kołach stołecznych, jakim był także salon Delwiga. Tu zjawiał się on najchętniej, prawie nie opuszczając żadnego wieczoru. „Wszyscy byli nim zachwyceni, — pisał w swoich wspomnieniach kuzyn Delwiga. — Prócz wielkiego talentu poetyckiego posiada on wspaniałe zdolności narratora. Ze trzy razy na tydzień improwizował Mickiewicz wieczorami różne, przeważnie fantastyczne opowiadania w rodzaju niemieckiego pisarza Hoffmana...”. Wtórował mu Puszkina, również wymyślając fantastyczne powieści. Przywracał mu to na krótko humor, bo na ogół był, jak świadczy A. Kern, „często w nastroju ponurym, roztrągniętym i apatycznym. W chwilach roztrągnięcia nucił pierwszy lepszy wiersz, jaki sobie przypominał i pewnego razu był bardzo zabawny, kiedy powtarzał bez przerwy wiersz barona Rosena, naśladując głos i sposób mówienia autora: Nieprzebiegana, ty nie chciałaś żyć”.

W takich okolicznościach nastąpiło zbliżenie się poetów. Podolski opowiada w swoich wspomnieniach, że na tych wieczorach u Delwiga był on wielokrotnie świadkiem długich i uporczywych dyskusji pomiędzy Puszkinem a Mickiewiczem, prowadzonych czasami po rosyjsku, czasami po francusku: „Pierwszy mówił z zapałem, często dowcipnie, ale nie gładko; drugi cicho, płynnie i zawsze bardzo logicznie”. „Co można powiedzieć o rozmowie Puszkina i Mickiewicza, — pisał również M. Pogodin, — prócz tego, że przesąd jest zimny, a wiara gorąca”. Tyle wiemy o tej przyjaźni, która stała się z czasem symbolem przyjaźni bratnich narodów: polskiego i rosyjskiego. Wiemy jeszcze wprawdzie, że w tym okresie petersburskim dwaj poeci przebywali równocześnie w stolicy przez niecałe dziesięć miesięcy, przy czym Mickiewicz dwa razy chorował. Ale i to nie mówi nam wiele. Nie zachował się ani jeden list lub wiadomość o tym, żeby poeci pisali do siebie.

Aby słysząc ich głosy (namietny i spokojny, cichy i zacinający się od wewnętrznego napięcia), rozróżnić wyrazy i uchwycić sens ich rozmowy, nie pozostaje nic innego, jak zwrócić się do wypowiedzi poetów z tego okresu, zawartych w korespondencji z przyjaciółmi lub w artykułach, poświęconych sztuce i światu literackim.

2.

ROZMOWA

Na początku wieku XIX nad umysłami w Europie niepodzielnie panował triumwirat: w polityce Napoleon, w literaturze Byron, w filozofii Schelling. Najkrócej trwało panowanie pierwszego. W 1825 roku w rocznicę śmierci angielskiego poety Puszkina zamówił we wsi Michajłowskoje nabożeństwo żałobne. Wiejski pop wygłaszał w pustej cerkiewce imię „ś.p. bojara Jerzego Byrona”, nie wiedząc, za jakiego grzesznika się modli. Nazwisko to kojarzyło mu się pewnie, z Bironem — faworytem carycy Anny, okrutnikiem i faktycznym władcą Rosji z czasów przed Katarzyną II-gą. Nie było, zdaje się, dworu wielkopolskiego, gdzieby ten wszechwładny Niemiec nie pozostawił po sobie wspomnienia lub legendy w duchu poplecznego despotyzmu. Ale sam Puszkina oddawał należny hołd nie tyle pamięci autora „Giaura” i „Korsara”, ile karbonariuszowi, buntownikowi i uczestnikowi powstania greckiego. W tym samym czasie napisał on poemat „Cyganie”, w którym ostatecznie wyzwał i siebie i poezję rosyjską spod jarzma bajronizmu. Najtrwalszym okazał się wpływ filozofa. Stał się on wyrocznią romantyków; teorię jego, spopularyzowaną przez Bouterweka i Asta, zastoso-
wał do poetyki Schlegel; w tej postaci rzucano ją w obieg po krajach słowiańskich. Mickiewiczowi zaszczylił estetykę Bouterweka Borowski. W Rosji wyznawcami jej byli A. Galicz, Kuechelbeker. D. Wieniewitinow i inni lubomudrzy. Jeżeli Mickiewicz zagłębiał się w ich artykuły, przeglądając „Polarną Gwiazdę” Rylejewa, „Mnemozyna” Kuechelbeker, „Moskiewski Wiestnik” lubomudrów, „Wiestnik Europy” z artykułami

początkującego wówczas krytyka Nadieżdina i wreszcie artykuły Polewoja, to znajdował w nich dobrze mu znane, pokrewne swoim próby definicji romantyzmu. Była to atmosfera epoki, jej barwa, jej smak. W tym klimacie klarujących się poglądów na sztukę romantyczną żył również i Puszkina. Aczkolwiek nie był on teoretykiem literatury i nie zajmował się specjalnie badaniem jej zjawisk, nie mniej pilnie je obserwował. Nawet w okresie zesłania, na wsi, był au courant wszystkich nowości francuskiego rynku księgarskiego: jeden z pierwszych w Rosji przeczytał manifesty romantyczne Wiktora Hugo i powieści Balzaca. Podobnie, jak Mickiewicz zostawił on szereg artykułów, drukowanych w czasopiśmie współczesnych, i wypowiedzi, rozrzuconych w brulionach, urywanych notatkach i listach. Porównując je z podobnymi wypowiedziami Mickiewicza dochodzi się do wniosku, że nie tylko nie kłóca się one z sobą, lecz nawet uzupełniają się wzajemnie.

W gabinecie Delwiga, gdzie palace schodzili się na gawędę przy fajce, stały na półkach oprawione i ozdobione tłoczonymi złotymi inicjałami książki. Zaglądając do almanachów ostatnich lat czterech, można było przejrzeć wszystko, co mówiło się w sprawie romantyzmu. Jedną z pierwszych polemik na ten temat wywołała książka m-me de Staël „O Niemczech”. Orest Somow, który wówczas po klótni w Bułharynem przeszedł do obozu Rylejewa, a później razem z Delwigiem wydawał „Kwiaty Północy” („Kwiaty-kwiatuśki” jak mawiał Puszkina), wystąpił w charakterze pioniera romantyzmu. W artykule „O poezji romantycznej, próba definicji w trzech artykułach” (1823) streszczał poglądy pani Staël. Akcentował chrześcijaństwo — średniowieczną genę romantyzmu przeciwstawiało antycznemu pogaństwu. Dotąd klasycy i sami romantycy nie mieli zdecydowanej postawy wobec zjawiska, które zwalczali lub którego bronili. Nieraz romantyzm rozumiano po prostu jako nowoczesną literaturę niemiecką. Poza tym za oznakę romantyzmu uznawał Somow wyzwolenie z norm i reguł klasycznych, korzystanie z kultury różnych czasów i ludów, a zwłaszcza Wschodu. Jako główne piętno nowej sztuki wskazywał: narodowość i koloryt lokalny.

Były to jeszcze niepewne kroki idące w ślady poetyki niemieckiej. Schellingowiec A. Galicz, wykładowca w liceum Carskiego Siola, nauczyciel Kuechelbeker i Puszkina, wystąpił w 1825 z artykułem „Próba nauki o pięknie” już uzbrojony od stóp do głowy w rymsztunek filozofii niemieckiej. Uzupełnia go D. Wieniewitinow w polemice z Mierzłakowem o istocie tragedii antycznej. „Mnemozyna”, która przygotowała grunt dla „Wiestnika Moskiewskiego”, postawiła kilka ciekawych zagadnień. M.in. Kuechelbeker przeciwstawiał Byronowi Szekspira, uważając jego raczej za prawdziwego geniusza uniwersalności romantycznej. Opinia ta zaważyła na poglądach Puszkina, który powtarzał ją w tym samym czasie, kiedy Mickiewicz przeprowadzał swój podział romantyzmu, posługując się jako symbolami Byronem i Goethem. Podział ten Mickiewicz uzależniał od historycznej roli społeczeństwa, i tym zbliżał się do ujęcia historycznego literatury, które w Rosji po raz pierwszy zastosował konsekwentnie „Wiestnik Moskiewski” w artykułach Szewyriowa i Pogodina. Puszkina natomiast jako kryterium wysunął demokratyczny pierwiastek sztuki. Byron dla niego był symbolem arystokratycznego samozaparcia się ducha; Szekspira natomiast nazywał „genialnym kmieciem”, a tragedię jego uważał za wzór twórczości narodowej, którą łączył z żywiołem ludowym.

Puszkina przemyslał Szekspira w ostatnich latach, kiedy zachwył dla Byrona ustąpił razem z rozczarowaniem w związku z kata-

strofą dekabrystów. Zresztą jeszcze na Południu, gdzie tak lubił przybierać pozę bajronicznego bohatera, nagle pod płaszczykiem Child-Harolda wyczuł prężność i próżność Oniegina. Zesłanie do majątku pskowskiego nasunęło mu sposób wyjścia. Często krawał w tłumie jarmarcznym, włożywszy koszulę chłopską; chwycił dźwięki gwary ludowej. Wieczorami słuchał baśni swojej starej nianki, Ariny Rodionowny. Wrodzone poczucie rzeczywistości wskazało mu siłę żywiołu ludowego, z którego dotychczas korzystał tylko w celach romantycznego ubarwienia swoich poematów. We wsi Michajłowskoje romantyzm rosyjski niespodzianie przerodził się w nową siłę rewolucyjną. Współcześni nie spostrzegli tego przewrotu. Przyjęli zmiany, które zaszły w twórczości poety za oznakę jej osłabienia, przejawy starczej niemocy. Dopiero następne pokolenia złożone już z innych warstw społeczeństwa, pokolenia Biełlinskiego i Czernyszewskiego oceniły odkrycie Puszkina i postawiły na lud, jako na siłę rewolucyjną.

Już w samych okolicznościach, w których zaszły tak istotne zmiany w literaturze rosyjskiej, czuć było powiew czasów przyszłych — okresu realizmu. W dziwnej prostocie i skromności, bez gestów i objawień, w parterowym domu folwarcznym, wzniesionym na zielonym pagórku wioski Michajłowskoje, odbyła się ta przemiana, okupiona wyrzeczeniem, samotnością twórczą i katastrofą przyjęcia. Los ich pobudził Puszkina do zagłębienia się w historię narodu. Chciał zrozumieć i wyciągnąć wnioski z tych strasznych wypadków, które zaszły w jego oczach. Tak doszedł do zagadnienia dramatu historycznego, kroniki udratyzowanej na wzór kronik francuskich, na które wskazywał również i Mickiewicz, jako na jedną z najważniejszych podmiot romantyzmu. Aktualność tematu przykryta analogią historyczną była zdobyczą tego nowego wówczas rodzaju literackiego. Zresztą i sam Szekspir przebrał Anglików w stroje antyczne i włoskie, aby swobodniej kpić z otoczenia.

„Nie śmiej przyrównać go (Byrona) do Szekspira, który znał wszystko: piekło i raj, niebo i ziemię, — pisał Kuechelbeker, — Szekspira, który stoi jedyny podobnie do Homera wśród wszelkich czasów i ludów, który jak Homer jest wszechświatem obrazów, uczuć, myśli i wiedzy, jest głęboki nie do wyczerpania i wszechstronny do nieskończoności” („Mnemozyna” III str. 172-3). „Angielska krytyka, — notował w brulionach Puszkina, — odmawiała lordowi Byronowi talentu dramatycznego; zdaje się miała słuszność... Byron rzucił jednostronne spojrzenie na świat i naturę ludzką, potem odwrócił się od nich i zagłębił się w samego siebie... Chodzi o to, że on osiągnął, polubił tylko jeden wyłącznie typ charakteru...” (1827). „Jednostajny” Byron nie potrafił natchnąć dynamizmem rewolucyjnym pokolenia Rylejewa. Natomiast w nowej rzeczywistości jego posępne odosobnienie nie znalazło zastosowania, lecz tylko pogłębiało jej mrok i pustkę. Obok Puszkina spostrzegł „olbrzymiego” Szekspira, po przeczytaniu którego „dostał zawrotu głowy, jakby popatrzył w otchłań” (notatka o Puszkinie w dzienniku Pogodina). Zagadnienie tragedii narodowej powiazał z żywiołem ludowym. Lata 1826—1828 przyniosły szereg notatek Puszkina na ten temat, który tak skąpo omawiał Mickiewicz. Z okresu rosyjskiego zachowała się jedyna wypowiedź mickiewiczowska o żywiole ludowym w literaturze, potraktowanym jako temat dla rodzaju gminnego (w notatkach Fr. Malewskiego — „Jeszcze można napisać poemata mocno zajmujące... Zebrać powieści kraczące pomiędzy ludem...” itd. p. Sejmowe t. XVI „Rozmowy” str. 49). Ale i w tej notatce można dostrzec wpływy twórczości puszkiniowskiej, gdyż jedyny temat

wzmiankowany tu przez Mickiewicza („Mnemozyna” takich pieśni, powieści słyszanych: zaklęta — pierścienek zatacza się pod stół; krew z miecza ciekąca...”) mógł być zapożyczony z ludowej ballady Puszkina „Narzęczony”. Balladę Puszkina po raz pierwszy wydrukowano w nr 13 „Moskiewskiego Wiestnika” (1827) z podtytułem „baśń gminna”, następnie włączono ją do II tomu Wierszy Puszkina (1829) i niewątpliwie utwór ten był znany Mickiewiczowi.

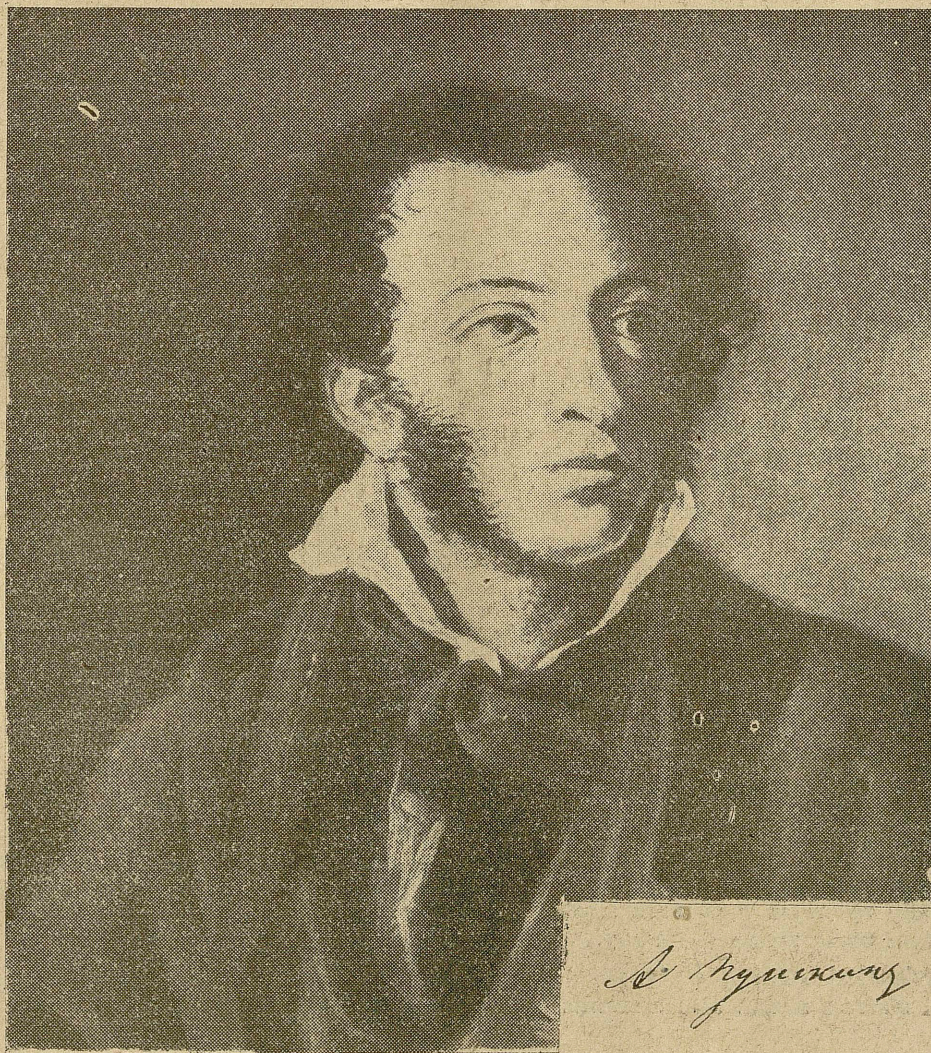
Co do Szekspira stawia go Mickiewicz obok innych dramatopisarzy nie wyróżniając go specjalnie — „U Francuzów zawsze pisarz, piękne wiersze. U Shakespear’a rzecz traktowana jak w romanse, że oderwać się niepodobna. W Fauście idealność coraz się wzmacnia ku końcowi...” i t.d. Byron zaś pochłania uwagę i absorbuje Mickiewicza; za jeden poemat Byrona oddałby on „wszystkie swoje utwory, całego Coleridge’a i Sutheya”, całego Goethego. Goethe przed Byronem tylko „sztukmistrz”. Byron „podniósł i uszlachetnił godność poety i człowieka”, a więc on jest ideałem twórcy romantycznego. Dostrzegł wspólność losu swojego i piewcy Child-Harolda, poety banity i wojownika wolności. Duch Byrona zabarwił Soneły krymskie tą nutą, wbrew receptom estetyków niemieckich.

Jako owoc przewrotu w twórczości Puszkina powstał dramat historyczny „Borys Godunow”. Na jesieni 1826 przywieziony na rozkaz Mikołaja do Moskwy, Puszkina zjawiał się wśród swoich dawnych i nowych przyjaciół-lubomudrów z rękopisem tragedii. Już następnego dnia po przyjeździe zaprasza on do siebie Muchanowa i Chomiakowych, aby wysłuchali jego nowego utworu. Nazajutrz czyta go u Wieniewitinowych. W tymże miesiącu odbywają się czytania u Wieniewitinowskiego i Sobolewskiego, znów u Wieniewitinowych, tak że zwraca to uwagę Benkenhoffa. Istnieje tradycja w badaniach stosunków między Puszkinem a Mickiewiczem, która każe przypuszczać, że na jednym z tych wieczorów był obecny i Mickiewicz. Nie ma na to żadnych dowodów, istnieją natomiast dane, że Puszkina czytał „Godunowa” w obecności Mickiewicza później w Petersburgu u hr. Laval i u Delwiga. Są jeszcze i inne powody do przypuszczeń, że Mickiewicz usłyszał „Godunowa” dopiero w Petersburgu. Mianowicie w korespondencji poety, spreparowanej z jego listów i umieszczonej przez Odyńca w „Kurierze Warszawskim”, Mickiewicz pisał o tragedii Puszkina „czytałem z niej wyjątki...”. Więcej jeszcze wówczas (korespondencję wydrukowano 22.IV.1827) nie „słyszał” całości z ust autora. Drugim wskaznikiem może być krytyka Mickiewicza, ujęta w formie rozważań znawcy literatury, z tonu której trudno przypuścić, że był on świadkiem tych pierwszych wieczorów, na których słuchacze Puszkina „jakby traciли przytomność; niektórych przenikał żar, innych przeszywały dreszcze; włosy stawały dęba, nie można było zapanować nad sobą. Niektórzy zrywali się z miejsc, inni okrzykiem wyrażali zachwyt; nagle zapadało milczenie lub zrywała się burza oklasków...” „Czytanie dobiegało końca, — pisał Pogodin, opisując tę scenę. — Długo patrzyliśmy na siebie, a potem rzuciliśmy się ku Puszkiniowi. Zaczęli się uścislić, gwar, śmiech, polały się łzy, powinszowania...”

Czy można sobie wyobrazić, aby podobny entuzjazm wywoływał wyłącznie piękno artystyczne nowego utworu Puszkina? W szerokiej masach, nieprzygotowanych do przyjęcia nowych myśli, nie miał on specjalnego powodzenia. Pierwszy numer „Wiestnika”, który ukazał się z fragmentem z „Godunowa” i liczył na niego, jako na główny swój atut, spotkał się z dość obojętnym przyjęciem. Natomiast młodzieńcze bajroniczne poematy Puszkina, które dały mu sławę, nikomu nie wycisnęły z oczu ani nie sprowadzały omdlenia i dreszczy. Entuzjazm, wywołany przez „Godunowa” tłumaczy się tym, że tragedia ta była jednocześnie faktem społecznym. Po raz pierwszy w okresie najgłębszych rozczarowań i triumfu reakcji politycznej w społeczeństwie przegryzionym represjami i śledztwem w sprawie dekabrystów, usłyszano głos nadziei otwierającej nowe widnokręgi myśli i działania. „Godunow” był pierwszym po burzy grudniowej przeblaskiem słońca z chmur, zawisłych nad krajem, czego nie dostrzegł Mickiewicz: omawiając konstrukcję dramatu i jego bohaterów, nie wniknął dostatecznie w to, że głównym jego bohaterem był lud, odpowiadający milczeniem na zwycięstwo Dymitra nad Godunowem. Tak kończy się bowiem kronika dramatyczna Puszkina. Lud milczy, wyrażając swoją wolę, która tu, na kartach „Godunowa” zjawia się po raz pierwszy w literaturze rosyjskiej jako czynnik polityczny. Wobec niego postacie bohaterów — jednostek historycznych są parodią bajronicznych tyranów i lekkomyślnych wyrotowców, którzy albo są odrzucani przez zakulisową siłę żywiołu ludowego, albo w umiesieniu romantycznym nie potrafią oprzeć się na niej.

Wówczas w salonie Delwiga spotkali się nie dwaj poeci romantycy, którzy w zasadzie zgadzały się ze sobą w nienawiści ku samowładztwu i w koncepcjach literackich, lecz autorzy „Konrada Wallenroda” i „Borysa Godunowa”. Jeżeli w ich rozmowie współcześni dosłyszeli nutę polemiki, wywołać ją mogła tylko różnica czasu, który wybił godzinę historyczną niejednakową dla narodów rosyjskiego i polskiego. Była to różnica dwóch dat: grudniowej i listopadowej. Wówczas gdy Puszkina już po doświadczeniach romantycznej frondy dekabrystów był na tropie nowej siły, na której wkrótce oparła się postępową inteligencją rosyjską, Mickiewicz jeszcze pozostawał w błędnym kole pojęć jednostki bajronicznej, marzącej w odosobnieniu wygnać o bohaterskim podstępem Almanzora.

Leon Gomolicki



Tadeusz Orlewicz

GOSPODARKA ROLNA ZSRR



Brygadistki



Zbiór herbaty

Konkretnie warunki i realne możliwości polityczno - społeczne sprawiły, że rolnictwo radzieckie z roku na rok rozwija swoją wydajność produkcyjną, podnosząc przez to dochód ludności wiejskiej i pozwalając strumień płodów rolno-hodowlanych, wchłaniany przez miasto z wzrastającym zapotrzebowaniem. Dzięki śmiałym reformom, które zmieniły radykalnie strukturę agrarną wsi radzieckiej, dzięki mechanizacji i maszynizacji, przez stosowanie w rolnictwie najnowszych zdobyczy nauki i techniki, przez rozciągnięcie zasady socjalistycznego współzawodnictwa pracy również na produkcję rolno-hodowlaną, dzięki tym i wielu innym równie podstawowym przyczynom rolnictwo radzieckie dotrzymuje w pełni kroku rozwojowi przemysłu. Nie stanowi ono elementu, opóźniającego lub utrudniającego równomierny rozwój całości gospodarczej kraju, ale jest równym partnerem w wysiegu ogólnych efektów pracy narodów ZSRR.

Z roku na rok rosła zbiory. W roku 1947 ogólnie zbiory upraw zbożowych przewyższyły zbiory 1946 roku o 58%, zbiory kartofli o 80%, a zbiory buraków cukrowych — o 19%. Wzrosły również zbiory innych kultur. W roku ubiegłym zasiano o 3,5 milionów ha więcej niż w analogicznym okresie 1946 r., a stacje maszynowo-tractorowe dały o 29% więcej wysiłku dla kolchozów niż w roku 1946.

Mimo tych doskonałych wyników — na rok bieżący rolnictwo radzieckie postawiło przed sobą dalsze, nowe, ambitne i trudne zadania. „Socjalistyczne Ziemieliście” podaje, że w roku bieżącym przewiduje się rozszerzenie powierzchni zasiewów w kolchozach o dalsze 15,5%. Ogółem powierzchnia siewna zbóż wzrosła w roku bieżącym w porównaniu z rokiem ubiegłym o 11%, a powierzchnia dla pszenicy jarej — o 35%. Oczywiście przewidywany jest równoległy wzrost upraw roślin przemysłowych. O 36% ma wzrosnąć obszar siewny lnu długowłóknistego. Buraków cukr. zasiano więcej o 19% niż w r. ubiegłym. Powierzchnia, objęta sadzeniami kartofli, powiększyła się o 47% w porównaniu z rokiem 1947. Powierzchnia zaoranych odłogów wzrosła o 10%, przekraczając stan przedwojenny, a jesienią zaorze się o 73% więcej ziemi niż w roku ubiegłym. Cytowane wyżej rolnicze pismo radzieckie podaje wreszcie, że zasięg robót tractorowych rozszerzy się w roku bieżącym tak dalece, że osiągnie w skali krajowej — poziom przedwojenny, że pod koniec roku bieżącego ma być przekroczona liczba przedwojennego pogłowia bydła, owiec i kóz.

Te bardzo fragmentarycznie podane osiągnięcia, osiągnięcia — dodajmy — dokonywane w okresie po ciężkiej wojnie, która wyniszczyła najżyźniejsze tereny europejskiej części ZSRR, mają swoje głębokie przyczyny w ustroju radzieckim i są skutkiem wielkich przemian na drodze rozwoju rolnictwa w Związku Radzieckim. W ciągu ostatnich 30 lat rolnictwo to przeszło bardzo ciekawą i wysoce pouczającą ewolucję.

Pragniemy wykorzystać m. in. broszurkę N. I. Anisimowa p. t. „Sielskoje Chazajstwo SSSR za 30 let”, aby przeanalizować w dużym z natury rzeczy skrócie ewolucję, jaka towarzyszyła wsi radzieckiej w latach od wielkiej rewolucji październikowej po dni dzisiejsze.

1. PRZED ROKIEM 1917

Rząd radziecki otrzymał po Rosji carskiej szczególnie ciężki spadek również i w dziedzinie stosunków rolnych w całej szerokiej płaszczyźnie zagadnienia. Były to bardzo trudne problemy gospodarcze, polityczne, społeczne, kulturalne.

Chłopi i robotnicy rolni za caratu byli przegwożdżeni wyzyskiem kapitalistów i obszarników. Te właśnie klasy posiadające, te kilka „górnich” tysięcy, skupiły w swych rękach 232,5 mil. ha najlepszej ziemi, a miliony za gród chłopskich zajmowały ogółem 134,7 mil. ha ziemi. Dlatego też do gospodarstw chłopskich w Rosji carskiej przylgnęło powiedzenie ludowe, że jest ono tak wielkie, iż niema gdzie kury wypędzić, bo 1,5 do 3 dziesięcin

to był przeciętny stan dla gospodarstwa wiejskiego. Tych małorolnych było ponad 65%, resztę zaś stanowili średniorolni i wielkorolni z tym jednak, że ta ostatnia grupa, zwana później „kułakami” zajmowała ponad 40% ogólnej powierzchni, zajętej przez gospodarstwa chłopskie, mimo iż gospodarstwa tej grupy stanowiły niecałe 15% ogólnej liczby zagrod.

Technika produkcji rolnej stała na szczególnie niskim poziomie. Wg danych spisu z roku 1910 Rosja posiadała 7,8 milionów soch, 2,2 milionów drewnianych i 4,2 milionów żelaznych pługów oraz 17,7 milionów bron drewnianych. O traktorach, kombajnach lub maszynach rolniczych nie było mowy. Zważywszy, że ogólna powierzchnia ziemi liczona była na 360 milionów ha, można łatwo stworzyć sobie obraz możliwości produkcyjnych ówczesnego rolnictwa i poziomu bytowania szerokiej mas rolniczych, prymityw bytowania i prymityw produkcji, stojącej na poziomie gospodarki naturalnej. Nędza, głód, analfabetyzm i ciemnota towarzyszyły od kołyski do śmierci życiu chłopu rosyjskiego. 30% włościańskich rodzin nie miało koni, a 34% spośród chłopów — żadnego inwentarza żywego. Ponad 15% chłopstwa nie miało z reguły możliwości zaoszczędzenia ziarna na siew. Na wsi carskiej Rosji królował analfabetyzm, na podstawie bowiem danych spisu z roku 1910 — nie umiało czytać i pisać w wsi: 68,3% mężczyzn i 91,4% kobiet.

Taki stan rzeczy powodował, że rokrocznie z centralnych okręgów szły 2 miliony biedoty chłopskiej na południe na roboty sezonowe. Setki tysięcy szły do miast, powiększając rezerwową armię miejskiego proletariatu. Uciekano ze wsi w obawie przed głodem i bezrobociem.

2. ROK 1917 I ROK 1929

Marks pisał, że interesy chłopów nie mogą pozostawać w harmonii i zgodzie z interesami burżuazji i kapitału, a naodwrot — są im wyraźnie przeciwstawne. Dlatego chłopci mają naturalnego sojusznika i przywódcę w proletariacie miejskim, powołanym do obalenia ustroju kapitalistycznego. Marks podkreślał doniosłość sojuszu robotniczo - chłopskiego w rewolucji, wyjaśniając, że w ten sposób rewolucja proletariacka będzie zgrany chór, którego głos bez udziału chłopów mógłby się przekształcić w krajach rolniczych w śpiew łabędzi.

Idąc więc ze wskazaniem tego wielkiego myśliciela rosyjska klasa robotnicza w sojuszu z biednym włościaństwem ustanowiła w październiku 1917 roku władzę sowiecką. Robotniczo-chłopski rząd odebrał od kapita-

listów i obszarników ziemi, fabryki i zakłady przemysłowe. Zwycięska rewolucja przyniosła zrzućnię wyzysku i 150 milionów ha ziemi dla chłopów.

W wyniku następującej poważnej zmiany w układzie stosunków własnościowych w rolnictwie. Zmniejszyła się ilość gospodarstw małorolnych i wielkorolnych na korzyść gospodarstw średnich, które w latach 1928—1929 liczą już 60% ogólnej ilości gospodarstw. Jeżeli biedny rolnik przed rewolucją miał 1,5—3 dziesięcin ziemi, a więc od 1,6 do 3,3 ha, to po rewolucji pracował on już na 7,65 ha.

Jeżeli w carskiej Rosji chłopci płacili za samą dzierżawę ziemi 500 milionów rubli złotych, to rewolucja oddała chłopom ziemię w bezpłatne użytkowanie. Jeżeli przed pierwszą wojną światową gospodarki mało — i średniorolne produkowały 2500 milionów pudów ziarna (1 pud = 16,38 kg), a więc dostarczały 50% całej produkcji narodowej, to w roku 1926/27 — wyprodukowały one 4.052 miliony pudów ziarna, czyli 85,3% ogólnej produkcji brutto. Natomiast spada wyraźnie udział gospodarstw wielkokulackich w produkcji z 1.900 milionów pudów do 617 milionów pudów w roku 1926/27.

I ten problem — problem t. zw. kułaków został postawiony jako zagadnienie państwowe, przyczem od jego właściwego rozwiązania uzależnione zostało w warunkach sowieckiej rzeczywistości ugruntowanie bazy socjalistycznej na wsi. Rząd radziecki zdawał sobie sprawę z tego, że wielkochłopskie gospodarstwa stanowią z natury rzeczy element, rządzący się zasadami kapitalistycznymi w gospodarowaniu. Z umacnianiem się t. zw. kułaków na wsi radzieckiej przyszedłby umacnianie się elementów kapitalizmu w gospodarce rolnej, a więc powrót wyzysku człowieka przez człowieka, a z tym — rozbiście sojuszu robotniczo - chłopskiego i likwidacja socjalizmu. Sprawa miała poza tym i wydźwięk inny równie zasadniczy, chodziło bowiem o podniesienie poziomu życiowego szerokich mas wiejskich na podstawie wzrostu wydajności pracy przez socjalistyczne współzawodnictwo. Problem wydajności produkcyjnej „kułaków” stał pod wielkim znakiem zapytania.

Z dwóch ewentualności wybrano konsekwentnie i logicznie jedną: zlikwidować kapitalistyczne gospodarstwo rolne i zastąpić produkcję gospodarstw kułaków — kolchozami. Powstaje koncepcja ujęcia szerokich mas pracujących na roli w system kolchozów i sowchozów, aby zapewnić w formie socjalistycznej pełną wydajność produkcyjną i wszechstronny rozwój gospodarki rolnej i życia wiejskiemu.

W tej przebudowie ustroju rolnego okazało się, że wielkie socjalistyczne gospodarki rolne nie wystąpiły jako siła wroga wobec drobnych i średnich rolników, ale jako siła pomocnicza przy organizowaniu się ich w zespołowe gospodarki rolne zwane kolchozami. W ten sposób sowchozy, a więc majątki państwowe, stały się zasadniczym trzonem przebudowy starego ustroju wsi wg określenia Stalina.

Po latach przygotowań i pierwszych kroków w dziedzinie przestawienia ustroju rolnego i systemu gospodarowania na roli w drugiej połowie 1929 roku chłopci poszli do kolchozów całymi wsiami, rejonami, jak pisał ekonomista radziecki, a w ślad za drobnymi rolnikami poszli i średniorolni. Za tym masowym zjawiskiem idzie olbrzymia pomoc Państwa, która przyspiesza rozbudowę nowego systemu gospodarowania na roli miliardami rubli, tysiącami traktorów, maszyn, siecią elektrowni, siecią szkół, przedszkoli i świetlic wiejskich.

Ten rok nazwany był przez Stalina rokiem wielkiego przełomu. Przełom ten rozwiązał bowiem odrazu trzy zagadnienia, nurtujące od lat 12 życie Związku Radzieckiego, a mianowicie:

- 1) zlikwidował nie tylko same gospodarstwa „kułackie”, ale sens ich istnienia, jako bazy kapitalistycznej w ustroju radzieckim;
- 2) sami rolnicy, jako najliczniejsza klasa w Związku Radzieckim, wybrali między gospodarką indywidualną a gospodarką zespołową;
- 3) władza radziecka zdobyła definitywnie szeroką bazę socjalistyczną na wsi.

Jako dalsza konsekwencja przychodzi przekształcanie się układu klasowego. Powstaje i krzepnie wielki, jednolity kolektyw radziecki bez przeciwności klasowych.

3. SOCJALISTYCZNA GOSPODARKA ROLNA

W roku 1940 Związek Radziecki liczył 240.000 kolchozów, 4.000 sowchozów, około 7.000 MTS (stacji maszynowo-tractorowych). Na roli pracowało 530.000 traktorów, 182.000 kombajnów, a jako konieczna pomoc — 223.000 samochodów ciężarowych. Źródła energii mechanicznej wsi radzieckiej szybko wzrastają z uwagi na wzmoczoną akcję elektryfikacyjną. W roku 1913 wieś dysponowała elektrowniami o łącznej wydajności 2.000 kilowatów, w roku 1940 — mogła wykorzystać i wykorzystała moc 275.000 kilowatów.

Na wzrost produkcji rolnej zasadniczy wpływ ma szerokie i umiejętne stosowanie nawozów sztucznych, które w coraz większych ilościach szły na wieś z produkcji przemysłu radzieckiego. Mamy przed sobą zestawienie charakterystyczne. Wynika z niego, że w roku 1913 wieś rosyjska zużyła ogółem 149.000 ton nawozów sztucznych. W piętnaście lat po tym, a więc na rok przed wielkim przełomem w stosunkach rolniczych ZSRR, jeszcze mamy niewielką ilość nawozów sztucznych zużytych przez chłopów, a mianowicie: 300.300 ton. Już jednak w roku 1932 widzimy liczbę: 1.111.200 ton, w roku 1937 — 3.154.900, a w latach drugiej pięcioletki: 8.700.000 ton.

Autorzy radzieccy udowodnili, że w 1927 roku 8 milionów gospodarstw rolnych, a więc 1/3 ogólnej liczby gospodarstw, nie mogło pozwolić sobie na utrzymanie konia. Nie mogły one również zdobyć się we własnym zakresie na dobry pług, nie mówiąc już o takich maszynach, jak siewnik, młockarnia, żniwiarka itp. Oczywiście, że w takim stanie rzeczy nabycie przez gospodarzy mało- i średniorolnych traktorów czy kombajnów było nieosiągalne. W tym też leży przyczyna, dla której system kolchozów znalazł olbrzymią popularność wśród ludności wiejskiej narodów Związku Radzieckiego. Kolchozy bowiem, jako duże zespołowe jednostki gospodarcze, mogły zdobyć się na wprowadzenie do produkcji najnowszych i najlepszych maszyn rolniczych.

Kolektywizacja dała możliwość wzmaganie towarowej produkcji gospodarstwa rolnego. Świadczy o tym następujące zestawienie:

Osip Kołyczew

tłum. Tadeusz Chróścielewski

MISTRZ

Het, w zagłębiu uralskim za cara
Żył-był majster-szlifierz samocwiałów
Niezbýt chętnie sprzedaż się paraf....
Wciąż by patrzył na kamień, jak w żarach
Jutrznia z zorzą migoce bukiemtem.

Niestrudzony tyrał życie całe,
Zakasawszy, jak trzeba, rękawy,
Aż w noc którąś dziwnie jawne się stały
Najtajniejsze i mistrzowskie sprawy.

Z każdym dniem odtąd kunszt rósł artysty
I zdumiewał się niejedną biegły,
Jaki cudny był i jak przeczysty
Strumyk światła pawich i złocistych
W malachcie, gdy dłońmi ulegał.

A nie zbruka się oczko — w wiek czyste
Toż dar taki mistrzowi był dany,
Że, gdy spojrzysz w półmarok ametystu,
Ujrzyś naraz morza — oceanu.

Czarodziejem szlifierza przezwali,
Bo i słusnie można rzec czarował.

Na kamiennym kręgu i owalu
Z onyksowych okienek osnową.

Tak on żył, aż nadeszła i starość
Jak powieść uralską powiada
Razem z mistrzem spoczęła na marach
Tajemnica sztukmistrzowskich zadań.

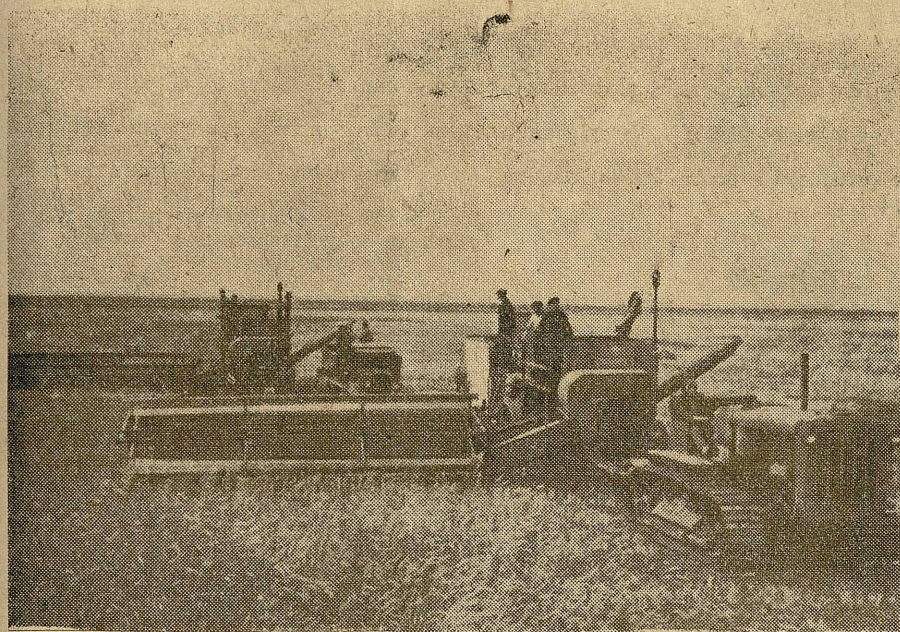
Ale mówią i tak ludzie starzy:
Ze wnukowi, gdy w norze swej chorzał,
Miał on szeptem cichnącym przekazać,
Jak jąc kamień, by słońcem rozgorzał.

Wyrósł wnuk, lecz już w Ziemi Sowieców,
Swego dziada talentem on doświł
I w szlifierkę szorstkich samocwiałów
Wklada dzisiaj cały zar młodości.

Lecz gdy ślęczy tak nad cud — kamieniem
W złotych karbach szczerzego natchnienia
Szkoli chętnych, a myśl jego prosta:
Mistrz dzisiejszy na wszystkich chce
przenieść

Tajemnicę słonecznego rzemiosła.

W LATACH 1917 — 1947*)



Żniwa



Na pastwisku

Wzrost produkcji towarowej rolnictwa.
(w miliardach pudów w/g cen 1926/1927 r.)

1913 r.	1932 r.	1937 r.	1940 r.
12,6	13,07	20,1	23,2

Powierzchnia siewna wzrosła ze 105 milionów ha w roku 1913 do 150,4 milionów ha w roku 1940. Problem ziarna chlebowego został szybko rozwiązany dzięki oparciu na systemie sowchozów i kolchozów i w roku 1940 produkcja zbóż chlebowych osiągnęła 7,2 miliardów pudów wobec 4,5 miliardów w latach przed pierwszą wojną światową. Produkcja bawełny wzrosła trzykrotnie, lnu i buraka cukrowego — dwukrotnie, oleju słonecznikowego — więcej niż czterokrotnie.

Przed kolchozami i sowchozami stanęły bowiem olbrzymie możliwości produkcyjne. Pełnymi rękami rozpoczęto korzystać z osiągnięć nauki i techniki. W roku 1940 wielopolowy płodozmian wprowadzono w 60.000 kolchozów. Szeroko rozpoczęto stosować regularny siew traw, głęboką orkę, likwidację ugorów, nawożenie sztucznym nawozem. W r. 1940 kolchozy wywiozły na swoje pola uprawne 250 milionów ton nawozu. Siew elit z 3,1% w roku 1928 wzrósł do 83,8% w roku, poprzedzającym wojnę sowiecko-niemiecką. Wprowadzono wszędzie siew rzędowy. Melioracja i osuszenie błot przyniosły nowe tereny pod siew. Osuszono 2.000.000 ha ziemi, a w dziedzinie nawadniania zbudowano 143 nowych wielkich systemów nawadniających i zrekonstruowano 182 dotychczasowych. Powiększyła się w sposób szczególnie wydajny powierzchnia lasów.

Wszelchstronna walka o wydajność ziemi i gospodarki rolnej przynosi poważny rozwój nauk rolniczych. Nazwiska praktyków i teoretyków radzieckich z tej dziedziny są znane na całym świecie dzięki nowym odkryciom w dziedzinie kultury rolno-hodowlanej. W Rosji carskiej były 122 szkoły rolnicze, natomiast w początku ubiegłego roku statystyka radziecka wykazała 7595 szkół, laboratoriów i innych zakładów naukowych w dziedzinie rolnictwa i hodowli.

Korzystając z pomocy nauki i techniki rozwija się obok produkcji rolnej i produkcja hodowlana. Kolchozy w początkach drugiej wojny światowej miały 600.000 ferm hodowlanych, a w nich 20 milionów sztuk bydła rogatego, 41,9 milionów owiec i kóz, 8,2 milionów sztuk trzody chlewnej i 14,5 milionów koni. W porównaniu do okresu sprzed pierwszej wojny światowej jest to stan większy o 36.000.000 sztuk. Duży nacisk w kolchozach położono nie tylko na ilość pogłowia, ale również i na jakość, dbając o rasowość bydła, koni i trzody chlewnej. Taka gospodarka dała w konsekwencji lepsze pod każdym względem efekty produkcyjne.

To wszystko sprawiło, że dochody kolchozów wzrastają. Obok wzrostu części majątkowych pomnażają się i dochody w pieniądzu, a mianowicie już w latach 1936—1940 dochód kolchozów wzrósł z 10 miliardów do 21 miliardów rubli. Na 1 stycznia 1947 roku w „Sielchozbankie” znajdowało się na kontach kolchozów 5 miliardów rubli, przeznaczonych na dalsze ulepszenia gospodarcze. Niewątpliwie wzrost dochodów kolchozów sprawia, że i chłopci pracujący w zespole kolchozowym, wyraźnie i materialnie i kulturalnie na tym zyskują. Na jednego zatrudnionego w kolchozie przydział samego tylko zboża (nie licząc innych produktów) i pieniędzy wzrósł w latach 1936—1940 o 150%. Przeciętnie w roku 1932 przypadało 36,6 pudów ziarna i 108 rubli, w roku 1937 — już 106,2 pudów i 376 rubli.

Równie poważne znaczenie dla gospodarki narodowej ZSRR mają sowchozy, a więc państwowe fabryki ziarna, mięsa, bawełny itp., jak je nazywają ludzie radzieccy. W roku 1940 sowchozy przekazały państwu ponad 200 milionów pudów zboża, 60 milionów p. mleka, 20 milionów pudów mięsa itp.

W kolchozach i sowchozach mnożą się szkoły, świetlice, laboratoria podręczne, lecznice, stacje elektryczne i stacje traktorowo-maszynowe. Nowa technika gospodarowania weszła mocno w życie wsi radzieckiej. Z nią wytworzyło się szereg nowych specjalności i ambicja zbiorowego współzawodnictwa pra-

cy. Ci traktorzyści, kierowcy kombajnów, specjaliści od wysokich urodzajów, kierownicy kolchozów i sowchozów, kołchoźnicy i sowchoźnicy — to współtwórcy nowej rzeczywistości wsi radzieckiej. W okresie siedmioletnim przedwojennym (1933—1940) przeszkolono i zatrudniono ponad 3 miliony traktorzystów, maszynistów, szoferów itp. mechaników, potrzebnych dla nowego systemu produkcyjnego w rolnictwie. Fachowa prasa radziecka oblicza, że w ZSRR w roku 1947 było ponad 100.000 specjalistów w zakresie rolnictwa, a więc agronomów, zootechników itp.

W ten sposób kiedy w państwach kapitalistycznych gospodarzy zasada konkurencji, bogacenia się jednym kosztem drugich, w ZSRR rozwija się współzawodnictwo socjalistyczne, podnoszące wydajność pracy wszystkich zatrudnionych i dochód narodowy, pociągające za sobą także podniesienie poziomu życia szerokich mas.

4. LATA WOJNY

Ciężko odczuły narody Związku Radzieckiego wojnę z Niemcami. W dziedzinie rolnictwa poniesiono poważne straty. Całkowitemu zniszczeniu uległo 1876 sowchozów, 98.000 kolchozów, 2890 MTS. Oznaczało to, że legło w gruzach 45% sowchozów radzieckich, 40% kolchozów i 40% punktów traktorowo-maszynowych.

Te olbrzymie straty w potencjale produkcyjnym były w okresie wojny z olbrzymim wysiłkiem wyrównywane przez wzmoczoną pracę wszystkich radzieckich ludzi wsi. Mimo tego, że z kolchozów wielu mężczyzn i wiele kobiet poszło na front, mimo tego, że wzięto z gospodarstw kolchozowych na użytek wojenny tysiące traktorów, samochodów, koni, mimo dużego parku maszyn rolniczych i dużych ilości bydła, kolchoźnicy ogromnym nakładem sił prowadzili na wysokim poziomie produkcję rolną.

Obok moralnych akcentów tego wysiłku poważne znaczenie miało tutaj prawidłowe

rozміszczenie przemysłu i gospodarki rolnej wg układu rejonowego. Przeniesienie podstawowych baz produkcji zbożowej do wschodnich i północnych dzielnic ZSRR, zapewniło właśnie w okresie wojny powiększenie produkcji ziarna, chociaż utracono tak bogaty rejon, jakim jest Ukraina.

Lata wojny potwierdziły, że w rzeczywistości radzieckiej ustrój kolchozów zdał egzamin, wykazując w pełni przydatność gospodarczą i społeczną. Wykazały, że nowy system broni pracujących przed wszelkim wyzyskiem i że kołchoźnicy, pracując wspólnie przy zastosowaniu najnowszych maszyn i ulepszeń dla kołchozu, pracują dla siebie i dla swego państwa.

5. OKRES POWOJENNY

System kolchozów w okresie powojennym jest znowu podstawowym elementem odbudowy zniszczonych i rozbudowy istniejących gospodarstw rolnych. Następstwa wojny były oczywiście zwłaszcza w okęgach okupowanych przez wroga. Zmniejszyła się powierzchnia siewna, spadły urodzaje, pogłowia bydła, koni i trzody chlewnej mocno zubożała, zabrakło maszyn i narzędzi rolniczych w MTS i sowchozach.

Określi oswoobodzone od najeźdźcy — dzięki wydajnej pracy przemysłu otrzymały wiele maszyn i materiałów budowlanych. Dopełniono w miarę możliwości stan inwentarza żywego. Już w roku 1946 w tych okęgach powierzchnię siewną powiększono do 75% stanu przedwojennego. Np. na Ukrainie doprowadzono w r. 1946 stan obszaru siewnego do 82% stanu z roku 1940, przy czym dla zbóż procent ten wzrósł do 90. W rejonie moskiewskim już dwa lata temu kolchozy obsiały 96,4% powierzchni siewów przedwojennych. Ogółem przeciętna wydajność pracy traktorów wzrosła o 30,5% w zestawieniu z wydajnością w roku 1940.

Powojenny, stalinowski plan pięcioletni postawił olbrzymie zadania przed rolnictwem radzieckim. W roku 1950 ogólny zbiór zbóż

powinien osiągnąć 127 milionów ton, a więc około 7 miliardów 620 milionów pudów. Ilość ta przewyższa zbiory z roku 1913 o 58%, a z roku 1940 — o 7%. W latach 1947—1949 ma być osiągnięty przedwojenny poziom produkcji roślin przemysłowych: bawełny, lnu, buraka cukrowego. W roku 1950 rolnictwo radzieckie powinno przekroczyć poziom z roku 1940 o 25% w dziedzinie produkcji bawełny, o 22% — w zakresie zbioru buraka cukrowego i o 39%, jeżeli chodzi o włókno lniane. Wokół wielkich miast i ośrodków przemysłowych postanowiono utworzyć bazy uprawy kartofli, owoców i hodowli bydła. Przed produkcją hodowlaną plan postawił zadanie osiągnięcia już w końcu roku bieżącego stanu pogłowia bydła rogatego, owiec i kóz z roku 1940, w roku 1949 — analogicznego stanu dla trzody chlewnej. Są to wszystko zamierzenia poważne, trudne tym bardziej, jeżeli przypomni się ogrom zniszczeń, poniesionych w okresie wojny przez rolnictwo radzieckie. Ale w Związku Radzieckim planowanie to nie samo przewidywanie. Mimo trudności obiektywnych roku 1946 (susza) efekty produkcyjne w rolnictwie nadążają za wymogami planu gospodarczego. 49 przedwojenników pracy w rolnictwie otrzymało właśnie w roku 1945 dyplomy bohaterów pracy socjalistycznej za osiągnięcie wysokich zbiorów pszenicy, żyta, kukurydzy, buraka cukrowego i bawełny. Mimo trudnych warunków atmosferycznych zbiór bawełny w roku 1946 przewyższył o 34% zbiór z roku poprzedniego, a w rejonach, nienawiedzonych suszą, zbiory były większe dwukrotnie od zbiorów z roku 1945.

Rok 1947, drugi rok nowej pięcioletki, przeszedł pod znakiem wzmoczonej pomocy państwa dla kolchozów w postaci traktorów i maszyn rolniczych, ziarna siewnego i materiałów budowlanych. Przeszkolono 11 tysięcy specjalistów w zakresie rolnictwa. Powierzchnia siewna wzrosła w porównaniu z rokiem 1946 o 8 milionów ha. Ukraina, rejon altajski i inne okęgi przekroczyły plan zasiewów jarej pszenicy. Plan zasiewów bawełny w kolchozach wykonano w 100%, buraka cukrowego w 100,4%, oleistych w 105%. Powierzchnia prac traktorowych MTS powiększyła się o 30,6 milionów ha w zestawieniu ze stanem z roku 1946. W wyniku współzawodnictwa pracy i pomocy państwa rok 1947 był świadkiem dużych zbiorów od 100 do 200 pudów ziarna z 1 ha ziemi. Powiększył się stan bydła rogatego, ulepszone pasze.

Obok tych spraw trzeba podać, że w kolchozach, zniszczonych pożogą wojenną, trwa szeroko zakrojona odbudowa pomieszczeń, magazynów i domów mieszkalnych. Wystarczy stwierdzić, że w Rosyjskiej Federacyjnej Republice Radzieckiej zbudowano 861.187 nowych domów mieszkalnych, do których z ziemianek sprowadziło się 4 miliony kolchoźników. Nastąpiła olbrzymia rozbudowa energii elektrycznej i sieci świetlnej na użytek rolnictwa radzieckiego.

Rolnictwo radzieckie od lat 19 w nowej formie ustroju agrarnego prowadzi nieustanną walkę o chleb i dobrobyt. Praktyka radziecka wykazała, że możliwości produkcji rolnej i hodowlanej są olbrzymie, że planowanie gospodarcze w rolnictwie ma pełne szanse realizacji. Nowe metody pracy i nowe podejście do zagadnienia otworzyły nowe możliwości. Podobnie jak w przemyśle tak i w rolnictwie wprzagnięto najnowsze zdobycze techniki i nauki do pracy. Podobnie jak w przemyśle tak i w rolnictwie przeprowadzono zasadę socjalistycznego współzawodnictwa pracy. Przełamano opory psychiczne i na gruncie rzeczywistości radzieckiej stworzono system gospodarki rolnej na skalę nieznaną w historii gospodarczej świata. Niewątpliwie system sowchozów i kolchozów jest specyficzny dla warunków radzieckich, niemniej jednak doświadczenia osiągnięte przez ZSRR w technice pracy na roli, mają swoje sugestijne wymowy.

Tadeusz Orlewicz

*) Przypominamy cykl artykułów we „Wsi” T. Orlewicza przedstawiających gospodarkę rolną we Francji, Anglii, USA i innych krajach.

Semion Gudzenko

Hum. Tadeusz Chrościelewski

Z DZIENNIKA WOJENNEGO

W Pradze chowają poległego w zwycięskiej potyczce majora.
Wełtawa cicha, lecz wzburzył ją salut działowy.
Kobiety płaczą, mężczyźni zaś milczą i biorą
Zapiekę gilzy na pamięć gwardyjskiego pochowu.

Żony wyczyszczą starannie pociski pyłem ceglanym
I wkrótce pierwsze konwalie z blachy wychyną spokojnie.
Płatki konwalii zapewne rychło czerwone się staną
I przejdzie powieść na wnuki o salwach, kwiatach i wojnie.

Praga — 1945.

Czemu się pytasz? Czyż to cud?
Toć ruskim nie szarada —
Wiedeński wał,
Wiedeński las,
Wiedeńska autostrada.

Cóż wał i las
W przepysznej rosie,
Gdy dzisiaj chodzi o to,
By szosę brać i trwać na szosie...
Wzięta...

i gra na każdym skosie
I płynie jak piechota.
Granaty tłuką, lecz strunami...
My naprzód w tej godzinie...
I poświstuje Straussa
Oficer — piechociniec.

Wiedeń — 1945.

Władysław Strzemiński

O PRZYSZŁOŚĆ NASZYCH MIAST I OSIEDLI

(artykuł dyskusyjny)

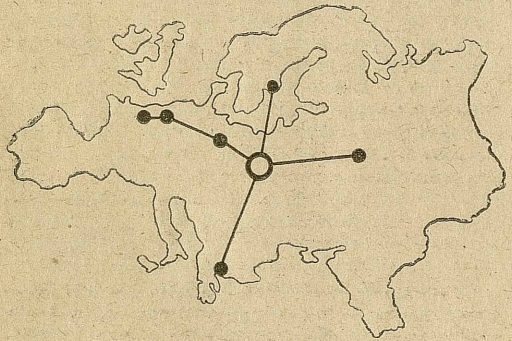
„NATURALNA” GEOGRAFIA GOSPODARCZA?

W ARTYKULE S. Cieślaka „Gospodarcze planowanie przestrzenne w Polsce”*) mam wrażenie, nie dość wyraźnie zostały sprecyzowane dwa następujące zagadnienia podstawowe, określające charakter planowania przestrzennego Polski: 1) Posiadamy trzy zasadnicze źródła bogactw (źródła surowców, przemysł przetwórczy i rolnictwo). Od ich właściwego rozmieszczenia zależy efekt wzajemnego współdziałania i wydajności. Jestem daleki od tego by uważać, że istnieje jedynie „naturalne” ich rozmieszczenie. Tak, jak same elementy (względnie sposoby ich wykorzystania) powstały w wyniku procesu historycznego, tak też i moment geograficzny (ich wzajemne położenie) jest, odpowiednikiem historycznego ukształtowania się sił społecznych. Ponieważ wchodzimy w okres planowania gospodarczego, tak dużego znaczenia nabiera również i planowanie przestrzenno-geograficzne w skali krajowej — gdyż może oddziaływać w sposób opóźniający bądź przyspieszający — zależnie od tego, czy się będzie zgadzało z tendencją rozwojową sił społeczno-gospodarczych.

W artykule S. Cieślaka znalazłem określenie: „w dalszym ciągu przewiduje się podział Polski na następujące, naturalne regiony życia gospodarczego i społecznego...” W wyniku tego „naturalnego” planowania geograficzno - gospodarczego powstaje dość równomierna sieć miast („20 wielkich miast o ludności około 150 tys. mieszkańców przeciętnie na miasto”) rozsiągniętych na terenie całego kraju. To równomierne rozmieszczenie nie zostało niczym uzasadnione, nie zostało związane z czynnością ludzką, z elementami polityki społeczno - gospodarczej. Po prostu: „naturalne” — i nic więcej.

Tymczasem wiemy, że wszystkie tego rodzaju elementy geograficzne powstają w wyniku działalności ludzkiej i służą zaspokojeniu potrzeb ludzkich. Zjawiają się wówczas, gdy tego wymagają potrzeby i znikają wraz z zanikiem potrzeb. Niewątpliwie wytworzonych przez człowieka elementów geograficznych (a takimi są elementy planowania przestrzennego), któreby były elementami „naturalnymi”. Zamiast elementów naturalnych musimy przyjąć elementy historyczne, ukształtowane przez działanie sił historycznych i upadające wraz z zanikiem tych sił. Elementy „naturalne” pozostają naturalnymi w obrębie działania jednej siły historycznej i przestają być naturalnymi, gdy rozpoczyna swe działanie inna siła historyczna, jej przeciwna. Ten związek pomiędzy planem urbanizacji kraju a modelem gospodarczym Polski obecnej — w artykule S. Cieślaka nie jest wyraźnie zaznaczony.

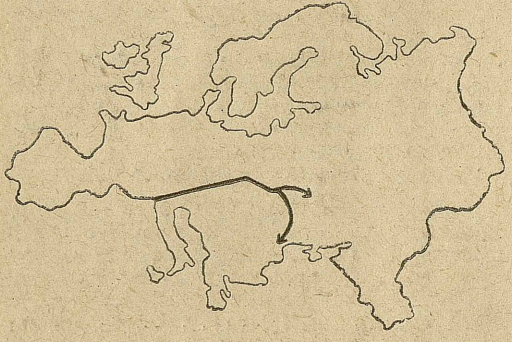
Dla ilustracji przytoczę przykład. W okresie międzywojennym w literaturze mocarstwowej „dla krzepienia serc” pisano o wspólności przyszłości, jaka oczekuje Warszawę w związku z jej położeniem geograficznym. Warszawa miała leżeć na skrzyżowaniu dwóch najważniejszych dróg europejskich i na dodatek — na ich przecięciu z trzecią — linią wodną Wisłą.



Wskutek tego miała ją oczekiwać nadzwyczaj wspaniała przyszłość największego miasta europejskiego.

Twórcy tej teorii zapominali, że drogi („naturalne”) istniały w naturze przed początkiem powstania rodzaju ludzkiego na ziemi, lecz człowiek je wydeptał wówczas, gdy musiał gdzieś chodzić. A chodził tam, dokąd go kierowały doraźne potrzeby gospodarcze.

Tak np. we wczesnym średniowieczu zamiast tych naturalnych dróg istniało całkiem odmienne ukształtowanie. Droga przebiegała przez Wiedeń, Pragę, Kraków, Lwów, Kijów — z odnogą na południe do Konstantynopola.



I jeszcze wcześniej droga tzw. bursztynowa — naturalna dla epoki rzymskiej prowadziła z Włoch, poprzez Kalisz do Gdańska.

W każdym z tych okresów działały inne siły i inne były też kierunki dróg.

Dopiero teraz, rozpatrując kierunki dróg, jako kierunki działania sił historycznych możemy zrozumieć, jakie działały na ukształtowanie „naturalnych” dróg Warszawy. Pierwsza linia, magistrala Wschód — Zachód, łącząca główne stolicy europejskie Paryż — Bruksela — Berlin — Warszawa — Moskwa, była linią łączącą przemysłowy kapitalizm Zachodu Europy z feudalnym i agrarnym Wschodem. Była to linia wymiany handlowej pomiędzy tymi częściami Europy. Zachód wysyłał swoje wyroby przemysłowe na wymianę za produkty rolne ze Wschodu. Wysokowartościową produkcję przemysłową kupowały warstwy uprzywilejowane Rosji carskiej. Konsumcja towarów lepszych wyróżniała te warstwy z pośród reszty ludności i podnosiła ich autorytet społeczny. Sukna angielskie, jedwabie francuskie, koronki bruckelskie, porcelana francuska i saska — podnosiły luksus bytu tych warstw i stwarzały warunki ich dodatkowego uprzywilejowania. Za ten luksus płaciła Rosja carska swoją produkcją rolną, obniżając tym samym konsumpcję szerokich mas. Za dodatkowy luksus klas wyższych płaciła ludność swym dodatkowym upośledzeniem i niedorozwojem konsumpcji podstawowych artykułów żywnościowych. Taki był sens drogi Paryż — Berlin — Warszawa — Moskwa, drogi wyzysku krajów pół - kolonialnych przez kraje kapitalistyczne.

Lecz był jeszcze drugi aspekt tej drogi. Produkty rolnictwa wschodniego, otrzymywane na Zachodzie, powiększały tam masową konsumpcję artykułów żywnościowych. Powiększając konsumpcję, stwarzały pewien szeroki dobrobyt ludności i sprzyjały tym samym uspokojeniu walk klasowych, ułatwiając tworzenie się odchyłań prawicowych w ruchu robotniczym. Natomiast na Wschodzie ta sama droga i działanie sił historycznych jakie ją powołały do życia — sprzyjały rozwarstwieniu się klasowemu i zaostrzeniu walk klasowych. Na jednym końcu tej drogi tworzyły się grupy oportunistyczne II międzynarodówki — na drugim wzmagaly się siły konsekwentnie demokratyczne.

Taki był sens społeczny tej „naturalnej” drogi wieku XIX. Nic też dziwnego, że gdy po Rewolucji Październikowej ustało działanie tych sił, droga ta, jako bezużyteczna straciła swoje znaczenie. Gwałtowny, przewidywany wzrost Warszawy nie nastąpił. Warszawa powoli narastała, lecz już w skali krajowej, jako ośrodek biurokracji (sanacja), lichwy bankowej i handlu (ND i ONR).

Dруга z tych dróg, wiodąca ze Sztokholmu do Salonik, jak była, tak i pozostała drogą na papierze, gdyż Szwecja nie miała żadnych interesów z Grecją. Poza tą wykreśloną na papierze linią nie stała żadna realna siła historyczna, która by ją powołała do życia.

Wolna droga Wisły pozostała drogą, na której pływało parę drobnych statków parowych — drogą o minimalnym znaczeniu lokalnym.

To samo można powiedzieć i o innych składnikach ukształtowania geograficznego. Rozmieszczenie miast, rozmieszczenie przemysłu nie kształtowało się zgodnie z jakąś idealistyczną „naturalną” drogą rozwoju — lecz było powoływane do życia przez działania określonych materialnych sił historycznych, zmieniało swój kształt, jeśli się zmienił charakter tych sił i upadało wraz z ich upadkiem.

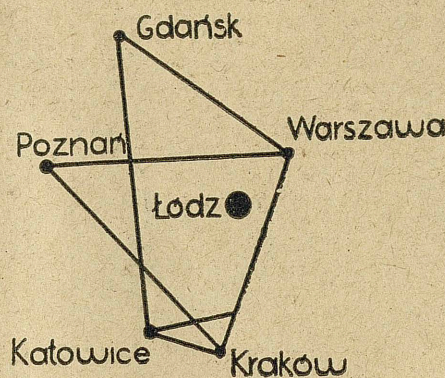
Tak np. w końcowej epoce manufaktur i ich przetwarzania się w przemysł, gdy koszt transportu (wobec stosunkowo małej produkcji) w bardzo małym stopniu wpływał na kalkulację — zjawiały się one zazwyczaj na terenie już istniejących dużych miast, gdzie liczba ludności decydowała o chłonności rynku miejscowego. Produkcja była jeszcze tak mała, że mogła być pochłonięta przez ludność danego miasta. W ten sposób rozwijały się miasta w pierwszych latach XIX wieku.

Z chwili, gdy postępy umaszynowania umożliwiały rozwinięcie większej produkcji, nastawionej już nie na rynek jednego miasta lecz na rynek całego kraju — przemysł przetwórczy szukał dla siebie takiego miejsca, z którego by miał równie łatwy dostęp do wszystkich punktów swego kraju lub swego obszaru celnego. Przemysł rozwijał się wówczas w środkowym mieście kraju, w punkcie, od którego wszystkie drogi są jednakowo oddalone. Tak w Królestwie Kongresowym powstaje przemysł w Łodzi. Tak rozwija się duży przemysł Moskwy i Berlina. Wszystkie te miasta nie leżą na skrzyżowaniach jakichkolwiek dróg naturalnych. Drogi wiodące z nich zostały wybudowane przez ludzi w rozmaitych okresach historii. I jeśli teraz, patrząc na mapę widzimy sieć dróg rozchodzących się z tych miast, musimy pamiętać, że drogi te poprzednio nie istniały i zostały wytworzone w wyniku konkretnego procesu historycznego i konkretnych działań materialnych sił historycznych. Żadne z tych miast nie posiada większych dróg wodnych a drogi lądowe, wybiegające z nich, dopiero wówczas automatycznie wytworzyły skrzyżowania, gdy je połączyły z innymi miastami.

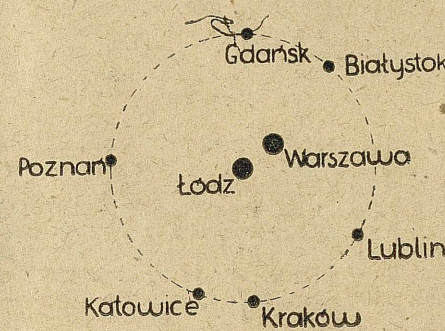
Istotną cechą tych miast jest więc nie to, że leżą w jakichś naturalnych punktach, wyznaczonych przez skrzyżowanie naturalnych dróg komunikacyjnych, lecz to, że się

znajdują w środku strukturalnie jednolitych obszarów gospodarczych, i że wskutek swego położenia centralnego mają jednako łatwo dostęp do wszystkich miejscowości swego obszaru.

Tak np. Łódź nie leży na skrzyżowaniu żadnych dróg naturalnych. Odwrotnie, wszystkie ważniejsze drogi komunikacyjne omijają ją.

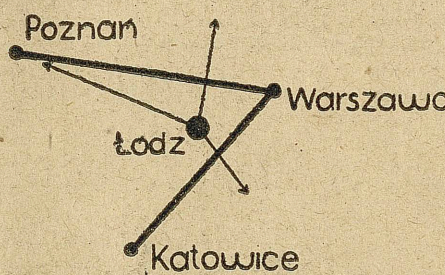


Jeżeli natomiast sprawdzimy położenie Łodzi w stosunku do innych miast, zobaczymy wówczas, że się znajduje w środku jednolitego obszaru struktury gospodarczej (dawniej — Polska A!). A jednocześnie w środku obszaru etnicznego.



Drogi wypadowe, utworzone przez połączenie z istniejącymi dawnymi liniami komunikacyjnymi — ułatwiły przemysłowi dotarcie do wszystkich zakątków kraju. Tym się tłumaczy — położeniem w centrum obszaru jednolitej struktury gospodarczej — istnienie Łodzi — tak rażącej anomalii z punktu widzenia odwiecznych, naturalnych itp. kryteriów.

Łódź, która się nie znajduje nad żadną dużą rzeką, Łódź, nie leżąca na żadnej ważniejszej istniejącej drodze komunikacyjnej, nie tylko nie umarła, lecz odwrotnie — rozwijała się, mimo, że podług „teorii”, już dawno musiałaby się wyłudnić. I nie tylko rosła, lecz powołała się z istniejącą siecią komunikacyjną i zbudowała drogi wypadowe w teren.

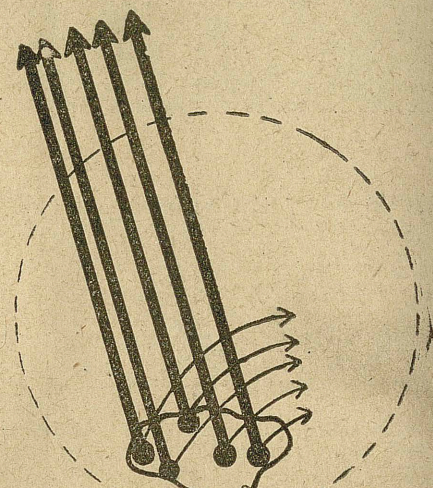


Jak widzimy, kapitalizm w pierwszym okresie swego rozwoju dążył do osiedlenia się w centrum strukturalnie jednolitego obszaru gospodarczego, skąd miał jednako łatwo dostęp do wszystkich jego peryferii. Powstający i rozwijający się ten ośrodek wywierał swój wpływ na najbliższą okolicę, ciążąc ku niemu — stwarzał dla niej rynek zbytu i urbanizował ją. Powstawały osiedla fabryczne, fabryczne miasta i miasteczka. Ten urbanizacyjny wpływ ośrodka przemysłowego na strukturę swego regionu był znacznie większy, niż we wcześniejszych typach społeczno-gospodarczych. Jeśli porównamy urbanizacyjne oddziaływanie Warszawy z jej ludnością przeważnie biurokratyczną i lichwiarsko-handlową — z oddziaływaniem przemysłowej Łodzi — zobaczymy wówczas, że Łódź znacznie silniej urbanizowała teren niż Warszawa. Jeśli podsumujemy ludność miast i miasteczek terenu, to w stosunku do miasta centralnego będzie ona wynosiła: dla Warszawy — 12 proc., dla Łodzi — ponad 30 proc.

czyli proces powstawania okolicznych miast wokół Łodzi był 2 i pół raza intensywniejszy. Dowodziło to gospodarczej przewagi kapitalizmu przemysłowego nad kapitalizmem lichwiarsko-handlowym.

W końcu wieku XIX rozwój przemysłu powiększył produkcję do takiego stopnia, że przekroczyła ona granice kraju i wyszła na szerokie rynki światowe. Wówczas szcze-

gólnie dobitnie występuje zagadnienie kalkulacji cen. Zniżka kosztów produkcji musi być tak duża, by mogła pokonać przeszkody ze strony barier celnych i polityki. Dla osiągnięcia tej niżki — redukuje się w pierwszym rzędzie koszt transportu, a to przez osadzenie przemysłu przetwórczego na źródłach surowców. Zamiast centralnego położenia w kraju i równych odległości do wszystkich peryferii — budoje się fabryki w miejscach wydobywania surowców (węgiel, ruda itp.). Przemysł nastawia się nie na rynek krajowy, lecz na eksport i konkurencję z towarami światowymi. Dlatego nowopowstające, przeważnie duże, zakłady przemysłowe końca wieku XIX i wieku XX znajdują się poza centralnymi ośrodkami kraju — przeważnie na jego peryferiach. Takimi są np. Chorzów, Mościce i liczne fabryki Śląska, takim jest przemysł północno - wschodniej Francji, lub dla Niemiec — ośrodkowo położony przemysł Zagłębia Ruhry.



W epoce imperializmu przemysł przetwórczy, jak widzimy, rozwija się na terenach surowcowych. Stąd znaczenie baz surowcowych i walka o ich opanowanie.

Z tego przeglądu przesunąć terenowych widzimy, że nawet w okresie samego tylko kapitalizmu przemysłowego nie istniały żadne „naturalne” ośrodki rozmieszczenia przemysłu przetwórczego. Że realne siły historyczne kształtowały geograficznie krajów. Ze ośrodek aktywności gospodarczej wędrował z jednego miejsca na drugie, zależnie od realnych wymagań każdorazowej sytuacji. Dlatego przy planowaniu przestrzennym nie możemy się kierować jakimiś abstrakcyjnymi, idealistycznymi, naturalnymi kryteriami, lecz musimy odczytywać działanie realnych sił gospodarczych - społecznych i ich związek z takim lub innym ukształtowaniem geograficznym.

PLAN NA JUTRO.

Powstaje teraz zagadnienie, jak należy planować przestrzennie w oparciu o siły społeczno - gospodarcze Polski Ludowej. Czy mamy bezkrytycznie przejąć jeden z już nieaktualnych schematów urbanizacji kapitalistycznej, czy też szukać rozwiązań nowych, zgodnych z nowymi siłami epoki? W każdym razie bierne stanowisko S. Cieślaka nie może być punktem wyjścia. Punkty, równomiernie rozmieszczone w terenie, dałyby tylko efekt rozprzestrzenienia sił i nie wykorzystania ich potencjału.

Charakterystyczną cechą modelu gospodarczego obecnej Polski jest współdziałanie przemysłu państwowego z rolniczą własnością prywatną. Ta dwójka struktura narzuca dwójną metodę działania w stosunku do tych dwóch rodzajów gospodarki. Planowa gospodarka w przemyśle i metoda pośredniego oddziaływania w rolnictwie. O ile w przemyśle określone cele mogą być osiągnięte w drodze bezpośredniego włączenia w plan — o tyle w rolnictwie wypadnie dołożyć do celu przez stwarzanie warunków, popieranie pewnych poczynań i brak poparcia dla innych, stwarzanie systemu premiowania itp.

Dla przemysłu konieczne jest takie ukształtowanie terenowe, by umożliwić wydobycie największego efektu pracy. Wiemy, że praca w jednej gałęzi produkcji wymaga współdziałania innych, ubocznych, pomocniczych rodzajów. Stąd wynika konieczność skupienia na jednym terenie rozmaitych wzajemnie się wspierających przemysłów. Wynika również konieczność należytego uzbrojenia terenu w urządzenia komunikacyjne, energetyczne, w instytucje naukowo-badawcze itp. Im mniejszy teren, tym mniejszy koszt jego inwestycji.

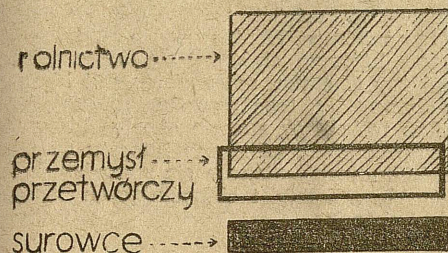
Z drugiej strony względy kalkulacyjne wymagają jak największego zbliżenia przemysłu przetwórczego do obszarów surowcowych, by obniżyć koszt transportu. Gdybyśmy więc szli po linii wyłącznie usprawnienia i potania produkcji — musieliśmybyśmy wówczas tworzyć jakieś zwarte i kolosalne skupiska przemysłu przetwórczego, osadzone na miejscach baz surowcowych. Nastąpiłby wówczas odływ produkcji z terenu całego kraju i skomasowanie jej w miejscach wydobycia surowców.

Skutki tej hiperurbanizacji nie dalyby na siebie długo czekać. Tak potworne skupiska ludzi, fabryk, dymów, kurzu i hałasów — w ciągu paru pokoleń zrujnowałyby zdrowie zatrudnionych tam pracowników. A interes

*) „Wies” nr 25 (154)

człowieka wymaga właśnie rozszerzenia terenu.

Rolnictwo, jak widzieliśmy, dla swego rozwoju wymaga pośrednich form oddziaływania. Jedną z tych form, powodującą jego przejście do wyższych typów produkcji — jest stwarzanie rynków zbytu na tę produkcję. Przejście rolnictwa do produkcji hodo- wano i ogrodniczej wymaga jak najbliższej położonych ośrodków miejskich. Z punktu widzenia rolnictwa pożądana byłaby jak najgęstsza sieć miast, równomiernie rozrzu- conych w terenie. Lecz takie rozmieszczenie dąłoby przemysł, pracujący niewydajnie i drogo.



Jako rozwiązanie, wynikające z dwuletniego charakteru modelu gospodarczego Polski — proponuje układ streficzny, jako typowe rozwiązanie urbanizacyjne kraju. Przemysł przetwórczy, położony w przejściu od tere- nów surowcowych do strefy rolniczej i na- sunięty na tę ostatnią. Strefa przemysłu przetwórczego ciągnęłaby się wzdłuż pogra- nicza pomiędzy strefami — surowcową i rol- niczą.

Dzięki temu uniknęłoby się rozproszenia przemysłu, tak podrażającego koszty produk- cji. Współdziałanie poszczególnych gałęzi przemysłu osiągnięłoby przez należyte uzbro- jenie techniczne tej strefy. Musimy pamiętać jednak, że naszym celem nie powinna być sama tylko kalkulacja i sprawność produkcji. Nie możemy zagęszczać przemysłu i skupiać go w nielicznych bardzo dużych ośrodkach. Produkcja istnieje dla człowieka, a nie czło- wiek dla produkcji. Częściowa zwyżka ko- szków kalkulacyjnych w przemyśle może być dużym zyskiem społecznym, ułatwiającym rozwój rolnictwa. Z drugiej strony — ośrodki przemysłowe umieszczone w tej strefie zy- skują ludzkie warunki bytu dla swych pra- cowników. Układ streficzny różniłby się i od kapitalistycznego kształtowania urbanistycz- nego, obliczonego na zysk, jak też i od „na- turalnego”, równomiernego chałupnictwa ur- banistycznego, typu proponowanego w rezulta- cie przez S. Cieślaka. Dwoisty charakter modelu gospodarczego Polski narzuca nowy typ ur- banistycznego ukształtowania kraju, typ po- średni pomiędzy pełnym planowaniem gospo- darczym — a gospodarką drobną własności, rozproszoną w terenie i wymagającą oddzia- lywania i pomocy ze strony przemysłu, zna- dującego się na wyższym szczeblu rozwoju. Ta wspólność interesów chłopsko-robotni- czych znalazłaby swój wyraz w systemie streficznym, systemie opartym o zasadniczą jedność klas pracujących.

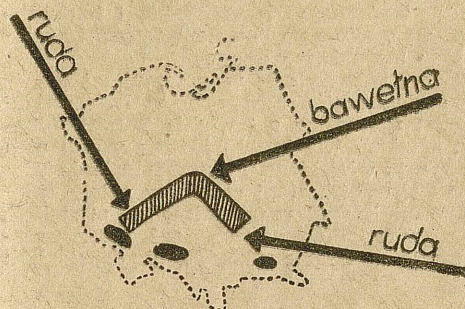
Biorąc za punkt wyjścia obecne rozmiesz- czenie terenów surowcowych, wyglądałaby mapa Polski w sposób następujący: (patrz: rysunek z prawej strony).

2) W artykule S. Cieślaka, jako zasadnicze typy osiedli zostały podane m.in.:

- 1) zespół domów,
- 2) osiedla pojedyncze,
- 3) wieś gminna.

Myślę, że to zagadnienie należałoby rów- nież poddać dyskusji. Czy na obecnym eta- pie rozwojowym te formy osiedli mogą pozo- stać, jako formy rentowne? I na jakich tere- nach?

Zaopatrzenie wsi w odpowiednie zmecha- nizowane narzędzia rolnicze zapewni jej wyż- szą rentowność. Lecz typy te będą wymaga- ły spółdzielczych form organizacji. Tylko wspólne, spółdzielcze posiadanie wysokowa- rtościowych narzędzi zapewni wyższą wyda- jność produkcji rolnej. Lecz ich pełne, rentow- ne wykorzystanie możliwe jest tylko na du- żych obszarach ziemi i przy dużej liczbie zrzeszonych członków. W ten sposób auto-



matycznie otwiera się dodatkowe uprzywie- lejowanie dla mieszkańców dużych osiedli. Re- alna przewaga warunków stworzy atrakcyj- ność zamieszkiwania w osiedlach większych. A następstwem — skupienia się ludności. W osiedlach większych — będą ułatwienia w korzystaniu z urządzeń cywilizacyjnych: peł- na szkoła podstawowa, zapewniona dzięki większej liczbie uczniów. Tak samo szkoła

zawodowa i ogólnokształcąca, biblioteka, ki- no itp. W następstwie przejścia do wyższej kultury rolnej zjawiać się musi uprzywielejo- wanie osiedli większych i zanik mniejszych. Wpłynęłoby to na charakter przestrzennego planowania kraju. Nie to zjawisko jest istot- ne, które obecnie jest w stanie szczytowym, lecz to, które się zjawiało, rozwija się i rośnie. Otóż tego wyliczenia dynamiki narastających nowych zjawisk społecznych nie dostrzegam w artykule S. Cieślaka. Możliwe, że obecnie „naturalnym” typem osiedla wiejskiego jest zespół domów i osiedle pojedyncze, niepełna szkoła podstawowa, brak czytelnictwa i in. Lecz ważne jest wykrycie źródeł dynamiki rozwojowej i kierunku rozwoju. To są czyn- niki istotne przy każdym planowaniu — a więc i przy planowaniu przestrzennym. Od tego zależy urbanistyczne ukształtowanie kra- ju i jego przydatność lub nieprzydatność dla rozwoju sił produkcyjnych. Nie jest oboję- dne dla rozwoju produkcji rolnej i dla cał- kowitego kształtu kultury polskiej — czy zasadniczym typem osiedla będzie osiedle pojedyncze (wg S. Cieślaka) o zasięgu 4 km kw., czy też duże osiedle o zasięgu 15 km kw., posiada- jące nowoczesną technikę rolną i dostęp do pełnowartościowego zakresu podstawowych dóbr kulturalnych.

Lecz wraz z zanikiem całych osiedli o ma- łym zasięgu powstanie nowe zagadnienie: — przewyciężenie odległości. Zwiększony ob- szar uprawy i konieczność pokonywania du- żych odległości — wyłonią nowe zagadnienia komunikacji. To zwycięstwo nad odległością i oddaleniem może być dokonane tylko przez dalszą motoryzację wsi i rozbudowę komu- nikacji.

Te wszystkie rzeczy należałoby przemysleć i przedyskutować.

Władysław Strzemiński

Michał Rękas

TECHNICZY W PRODUKCJI ROLNEJ

(artykuł dyskusyjny)

ZMIERZCH „PRAWA” MALEJĄCEJ WYDAJNOŚCI GŁĘBY

„PRAWO” to brzmi: „każdy na- stępny dodatek (roślinie) rów- nej ilości danego czynnika po- woduje nie równy, lecz zmniejs- szający się efekt”. Po raz pierw- szy sformułował je fizjokratę

Turgot dając tym materiały do gruntowniejszego opracowania zagadnienia twórcy chemii rolnej — Liebigowi. Wybitnymi zwolenni- kami tego prawa byli Ricardo, Malthus i wielu innych, burżuazyjnych ekonomistów. Broniąc kapitału przed klasą robotniczą próbował przy jego pomocy usprawiedliwić wszystkie sprzeczności kapitalistycznego u- stroju. Nędza robotników i wogóle mas pra- cujących nie wynika — w ich ocenie — z niesprawiedliwego ustroju, lecz skąpstwa ziemi, która nie chce rozdzielić według życzeń rolników. J. S. Mill pisał: „skąpstwo przy- rody, a nie niesprawiedliwość społeczna jest przyczyną cierpienia, jakie naród przy prze- ludnieniu cierpieć musi”.

Widzimy zatem, że „prawo” malejącej wydajności gleby jest dla ekonomistów ka- pitalistycznych pierwszorzędną zasłoną dy- mną dla wszelkich machinacji tego okresu. Naprasza się podsuniecie kapitalistom argu- mentu do rozmów ze strajkującymi robot- nikami — „nie na głód nie pomożemy. My ziemi w rodzeniu chleba zastąpić nie jesteśmy w stanie. Zmienić jej też nie umiemy. Po- patrzcie na prawo Liebiga. Boski w tym palec”.

Szturm na to „prawo” zapoczątkował Marks (List do Engelsa z dnia 7 stycznia 1851 roku). Kontynuował go Lenin, a rozprawy o- statecznej dokonali uczeni radziecy. W walce tej uczestniczą również ekonomiści polscy.

W rozprawie A. Brzozy „Przeciwko kom- pleszowi niższości w rolnictwie” (Nowe Drogi Nr. 8) wykazane zostały błędy zwolenni- ków tego prawa. Polegają one mianowicie na tym, że w doświadczeniach brano pod

uwagę wpływ jednego tylko czynnika (np. wody — Helrigel), a nie pamiętano, że „wzrost i rozwój rośliny w każdym momen- cie zależy od całego szeregu czynników wz-ajemnie się warunkujących”. Późniejsze do- świadczenia przeprowadzane szczególnie w Związku Radzieckim (Williams, Wollny) wy- kazały, że „im więcej czynników wpływają- cych na plon rośliny poddać jednoczesnemu badaniu, im bardziej zostaje uwzględniona ich wzajemna interakcja, tym bardziej zło- wieszczą krzywa spadającej urodzajności pro- stuje się, a plony zaczynają wzrastać nie tylko wprost, ale i więcej niż proporcjonal- nie w stosunku do każdego następnego do- datku czynnika. Prawo zmniejszającej się wydajności przekształca się w prawo zwię- kszającej się wydajności, w prawo postępu rolniczego, limitowanego jedynie zasięgiem wlezy”.

O wzroście wydajności gleby decyduje za- tem głównie rozwój sił wytwórczych. „Świad- cza o tym ze szczególną siłą sukcesy osiągnięte w socjalistycznym rolnictwie ZSRR, gdzie roz- wój idzie w parze ze wzrostem sił wytwór- czych, podnoszeniem urodzajności i wzros- tem produkcji rolnej”. (K. W. Ostrowitlanow — „Renta gruntowa a rozwój kapitalizmu w rolnictwie”, str. 27).

Punktem wyjściowym zatem w sprawie racjonalnie zorganizowanej produkcji rolnej w Polsce musi być odrzucenie fatalistyczne- go „prawa” o malejącej wydajności gleby. Przyroda przegrywa z człowiekiem. Czło- wiek jest w stanie zmusić ją do pożądanego „zachowywania się”. Człowiek ten jednak musi być do tego odpowiednio przygotowa- ny tak pod względem intelektualnym, jak technicznym i ideologicznym.

Wysokie różnice w zakresie produkcji pomiędzy Polską a innymi krajami wynikają również z różnic w zakresie stanu organiza- cyjnego szkolnictwa rolniczego, o czym może świadczyć następujące zestawienie, przyto- czone według relacji inż. S. Krantforsta z ob- serwacji poczynionych w Czechosłowacji:

	Produkcja z 1 ha			
	pszenica	żyto	burak cukr.	ziemniaki
1884	12,6	11,1	182	73,6
1918	14,8	13,0	220	89,0
1938	19,3	14,4	303	150,0
1948 (plan)	20,0	18,0	320	160,0

złoty przedwojennych. Znacznie wzrosła ilość traktorów i koni, poczynając tym za- opatrzenie rolnictwa w siłę pociągową.

Z liczb przytoczonych należy wnioskować, że wydajność z ha wydatnie wzrosła. W r. 1949 osiągnie średni wskaźnik produkcji rolnej i wyniesie co najmniej 110 ha na głowę lud- ności, przyjmując przeciętną z lat 1938—38 za 100. Punktem zwrotnym w naszej gospo- darce będzie osiągnięcie samowystarczalno- ści żywnościowej. Nastąpi to w roku 1949/49.

Poza tym plan trzyletni przewiduje zmia- nę przedwojenną strukturę zasiewów z ko- rzyścią dla roślin przemysłowych i pastew- nych, oraz w stosunkach między pszenicą i żytem z korzyścią dla pszenicy.

Zatem: dążymy do jak najwyższej wydaj- ności z ha bez obaw dotyczących skąpstwa gleby. Rozumiemy, że decydującą rolę w tym procesie grają siły wytwórcze i dlatego słusznie się dzieje, że pomnożenie tych sił i ich rozwój jest wielką troską nowego ustroju.

STAN WYŻSZEGO SZKOLNICTWA ROLNICZEGO W POLSCE

Jakież w świetle potrzeb społecznych i go- spodarczych przedstawia się obecnie wyższe szkolnictwo rolnicze w Polsce i w jakim sto- pniu jest ono dostosowane do realnych potrzeb życia?

Mamy obecnie następujące wyższe szkoły rolnicze typu akademickiego: SGGW w War- szawie, Wydział Rolny w Lublinie, Wydział Rolniczo-Leśny w Poznaniu, Wydział Rolni- czo-Ogrodniczy we Wrocławiu i Wydział Rol- czo-Leśny ze Studium Spółdzielczym w Kra- kowie oraz dwie szkoły wyższe typu zawo- dowego WSGW w Cieszynie i WSGW w Ło- dzi.

Kierunki studiów i liczebność studentów ilustrowe następujące zestawienie:

A. Wyższe uczelnie akademickie:				
	Ilość stud.	Razem		
SGGW w Warszawie z wydziałami:				
leśnym	359			
technologii drewna	261			
rolniczym	465			
sekcją melioracyjną	80			
ogrodniczym	338			
studium gosp. domowego	50	1.553		
Wydz. Rolny w Lublinie	322	322		
Wydz. Rolniczo-Ogrod. we Wro- cławiu	423	423		
Wydz. Rolniczo-Leśny w Pozna- niu	1.151	1.151		
Wydz. Rolniczo-Leśny w Kra- kowie	1.407			
Studium Spółdzielcze w Krako- wie	673	2.080		
Razem:		5.529		
B. Wyższe szkoły zawodowe:				
WSGW w Cieszynie z wydziałami:				
rolnym	217			
mleczarskim	149			
stud. ochrony roślin	18			
stud. nauczycielskie	101	485		
WSGW w Łodzi z wydziałami:				
rolnym	212			
ogrodniczym	119			
przemysłu rolnego	308			
spółdzielczym	399			
agronomii społecznej	115	1.153		
Razem:		1.638		

Z powyższego zestawienia wynika, że sto- sunek studentów w wyższych szkołach zawo- dowych do studentów szkół akademickich kształtuje się jak 1:3,5 na korzyść szkół aka- demickich.

ZAPOTRZEBOWANIE SPOŁECZNO-GOSPODARCZE

Należy teraz ocenić wyższe szkolnictwo rol- nicze w Polsce z punktu widzenia omówio- nego powyżej zapotrzebowania społecznego na pracowników zawodowych o wielokierunko- wych kwalifikacjach specjalnych, odpowia- dających naturalnym stosunkom naszej współ- czesnej rzeczywistości i realnym wymaga- niom życia i pracy na wsi. Natrafiamy tu jednak na dość poważną trudność, ponieważ

nie rozporządzamy dotychczas prawie żadny- mi danymi statystycznymi, któreby w spo- sób obiektywny ilustrowały stopień zapo- trzebowania pracowników w różnych dziedzi- nach zarówno z punktu widzenia aktualnego stanu rzeczy, jak i z punktu widzenia plano- wania na przyszłość. Trzeba się więc ograni- czyć do orientacyjnych liczb przybliżonych, które wynikają z gruntownej analizy porów- nawczej poszczególnych dziedzin życia i pra- cy na wsi, oraz szeregu akcji pozawiejskich, ale bezpośrednio ze wsią związanych.

	Zapotrzebowanie w licz. absolut.	Niezbędny dopływ roczny	Ilość studentów	Ukończeni studiów w roku 1947/48
I. Organizacja i realizacja produkcji	15.000	3.000	3.619	675
II. Organizacja i realizacja przetwórstwa	12.000	2.400	457	122
III. Organizacja i realizacja wymiany i kredytu	16.000	3.200	1.072	280
IV. Organizacja społeczno-polityczna i oświatowo-kulturalna	20.000	4.000	216	70
Razem:	63.000	12.000	5.364	1.147

Zestawienie powyższe jakkolwiek wskazuje tylko kierunek, w jakim powinny iść badania statystyczne, to jednak pozwala nam wypro- kwadzić wniosek, że nie jesteśmy zdolni pok- ryć przy obecnym stanie wyższych szkół rolniczych nawet w 20% rocznego zapotrze- bowania, by na przestrzeni najbliższych 5 lat dojść do stanu zadawalającego, a jeśli się zważy, że czas ten wydłuży się nam aż do 25 lat, to konieczność przebudowy i rozbudowy wyższego szkolnictwa rolniczego staje się aż nadto oczywista. Drugi, niepokojący objaw, po- siadający wszelkie cechy anomalii, to wyso- ka nierównomierność obsługiwania poszcze- gólnych dziedzin życia i pracy na wsi przez wyższe uczelnie rolnicze. Jeżeli bowiem rocz- ny dopływ w dziedzinie produkcji można prze- widzieć na przeszło 22% niezbędnego zapo- trzebowania, to w dziedzinie tak niezbędnej ważnego przetwórstwa wynosi on zaledwie 5%, a w dziedzinie społeczno-oświatowo-kultu- ralnej spada aż do 2%. Należy przy tym za- uważać, że te dwie ostatnio wymienione dzie- dziny zaczęły obsługiwać wyłącznie wyższe szkoły zawodowe.

SITUACJA NA ODCINKU KSZTAŁCENIA

Możliwości dalszego rozwoju zależą od ca- łego szeregu warunków i czynników, wśród których do najważniejszych należą: pracow- nie i ich urządzenia, oraz wykładowcy i nau- kowcy, personel pomocniczy. Pod tym wzglę- dem sytuacja na terenie wyższego szkolni- ctwa rolniczego przedstawia się następująco:

(dokończenie na str. 12)

Tadeusz Twarogowski

SPOD STRZECH NAD SZPREWĘ

Mimo, że w Niemczech podczas II wojny światowej znalazło się kilka milionów Polaków, mimo, że ich zesłaniu na przymusowe roboty towarzyszyła brutalna przemoc, mimo, że ludzie ci poszli w głąb kraju znieprawionego wroga na wyzysk i niewolę — dotychczas niewiele o tym napisano.

Kapitałne zaś we wszystkich aspektach zagadnienie przebywania mas chłopskich i robotniczych przez okres pięciu lat pod knutem pruskiego junkra, saskiego bauera i nadreńskiego fabrykanta czeka jeszcze dotychczas na gruntowne ujęcie, na pokazanie opinii polskiej doli „Wierzb nad Szprewą”.

Specyficzne warunki bytowania, praca niewolnicza, współżycie z innymi grupami etnicznymi, samorodne kształtowanie się form współżycia, potęgowanie się świadomości narodowej, ocena zachodzących zjawisk polityczno-wojskowych w czasie trwania wojny, tragiczny spłot sprzeczności — czy pracować na „akord” i przez to wzmacniać potencjał militarny wroga, czy też sabotować i pozabawiać minimalnej pomocy pozostałą w kraju rodzinę — oto po prostu kopalnia faktów do studiów nad epoką oraz nad masą chłopską i robotniczą, oto źródło tematów dla dociekań socjologicznych oraz literatury pięknej. Wielka zaś „sprawa” ludu, wprężonego przez maszynę niemieckiej gospodarki w służbę przeciwko Polsce i tym, którzy nam nieśli wyzwolenie, stanowić winna znamienny przyczynek do historii chłopów i robotników. To potężne zagadnienie winno być rozpracowane rzetelnie wielu siłami. Jego bowiem skala i napięcie przewyższa możliwości jednego człowieka.

Podając kilka uwag, chciałbym m. in. wykazać konieczność powołania jakiejś centralnej instytucji, ewentualnie Biura Studiów, które przez zbieranie relacji, ich opracowanie, publikowanie oraz syntetyczne ujęcie w całość, przyczyniłoby się do gruntownego poznania oblicza II wojny światowej, i metod stosowanych przez faszystów niemieckich, spychających milionowe rzesze ludzi do roli białych niewolników.

GEMEINSCHAFTSLAGER

Z chwilą wybuchu II wojny światowej, imperializm niemiecki osiągnął swe najwyższe napięcie. Kulturowane w niemieckim sztabie generalnym idee podboju zbiegały się z ideologią narodowego socjalizmu. Rozpracowano z niemiecką pedanterią metody walki (wojna błyskawiczna), przystosowano do wymagań wojny strukturę gospodarczą państwa, nastawiono psychologię narodu, wzniecano drogą metod wychowawczych — idee rewolucji, stworzono opartą o system osi myśli polityczną. Państwo i naród niemiecki zostały do wojny przygotowane pod każdym względem. Zdawano sobie sprawę, że żywienie olbrzymiego pola walki w warunkach nowoczesnej wojny wymaga kolosalnych sił i środków, wymaga zmobilizowania całego zaplecza. Ubutek zaś sił własnych postanowiono zastąpić ściganym, przemocą na obszar Rzeszy mieszkającymi podbitych krajów. Gdy doda się do tego troszkę o interesy wielkiego kapitału i obszarnictwa, które ucieleścić mogłyby w czasie wojny z braku siły robotniczej, wówczas zrozumiałą staje się fakt przebywania w ciągu pięciu lat na terytorium Rzeszy milionowych mas ludu pracy zęganego z Polski, Francji, Jugosławii, Belgii, Holandii, Czech i Rosji.

W każdym niemieckim mieście fabrycznym spotkać można było w czasie trwania wojny instytucje zwane powszechnie Gemeinschaftslager. Były to obozy mieszczące w starych ruinach, młynach, budowach pofabrycznych lub barakach tysiące robotników z Polski, Francji, Czech, Belgii, Holandii, Włoch, Jugosławii, Bułgarii i Rosji. Robotnicy ci mieszkali przeważnie odrębnymi grupami etnicznymi, często jednak spotkać można było Gemeinschaftslager, w którym obok Polaków przebywali Czesi, Francuzi, Włosi i Holendrzy. Obozy te znajdowały się zwykle w pobliżu wielkich zakładów przemysłowych, obok kopalń, hut, odlewni. Małe drewniane domki, tworzące rozległe kolonie, oddzielnie stojące grupy baraków, duże czerwone domy otoczone drutem tworzyły z III Rzeszy odczynne lagrow, w których kształtowało się życie milionów ludzi. Przywiezieni oni zostali z odległych stron, znad Wisły, Dunaju, Sekwany i Padu. Znaleźli się tu ludzie wsi i miast, ludzie różnych wiar i ras. Obok Włocha — nieprzystojnie czysty Holender, obok mieszkanka bulwarów nadsekanowskich — spokojny chłop spod Rypina, obok zamkniętego w sobie Serba — niefrasobliwy Czech z Pardubic.

Wszystkich tych ludzi dzieliło początkowo bardzo dużo. Inne kultury, inne wyznania, inne zainteresowania — i co najważniejsze różny stosunek do Niemców. Włosi przyjechali dobrowolnie — na zarobek, — wielu Francuzów, Belgów i Holendrów bez specjalnego przymusu, o czym przekonywały punktualne powroty z urlopów. Czesi z Arbeitsamtów, Polacy z Japaneck, Rosjanie z deportacji. Narodowości te posiadały też wskutek tego różne uprawnienia. Wszyscy, z wyjątkiem Polaków i Rosjan, poruszali się swobodnie, nie istniała dla nich godzina policyjna, zakaz wstępu do kin, cyrków, teatrów, restauracji i kawiarni. Różne też otrzymywali wynagrodzenia za pracę. Inne kartki żywnościowe, inny chleb, inną odzież.

Z biegiem jednak czasu, mimo tych różnic, powstawały poczynki oryginalne, zgoła formy

współżycia, działały prawa społeczne, które normowały wzajemne stosunki i wytwarzały wspólną dla wszystkich platformę porozumienia. Bardzo szybko dogadali się Polacy z Czechami (zapomniano przykry incydent zaolziański), Francuzi z Włochami, Serbowie z Chorwatami. I mimo odrębności narodowych i istniejących do niedawna uraz wytworzyła się względna harmonia współżycia, kłócona jedynie czynną zwykłą ingerencją lagerführera i kalfaktorów. Oczywiście na harmonię tę czekać trzeba było stosunkowo długo.

Polacy, zatrudnieni w przemyśle i górnictwie niemieckim, stanowili w lwiej części element robotniczy z Zagłębia Dąbrowskiego oraz Śląska. Nie brakło jednak wśród nich i elementu wiejskiego. Po przyjeździe do Niemiec wykwalifikowani robotnicy polscy skierowywani bywali natychmiast do produkcji, dla niewykwalifikowanych zaś organizowano często w obrębie zakładów przemysłowych

Jan Gerhard

NA FRONCIE ZACHODNIM *)

Jeszcze jedna książka o walkach Polaków na Zachodzie. Napisana barwnie i zajmująco. Bezsprzecznie zasługą autora jest fakt, że zajmuje się nie tylko dowódcami, ale także szarym żołnierzem, podkreślając jego bohaterstwo, oddanie i poświęcenie. Na pochwałę uczestnicy tych walk zasłużyli z całą pewnością i takie przedstawienie stanowi pozytywną stronę książki.

Ale u podstaw jej leży jednak błędne ujęcie i ocena wypadków. Polega ono na wyolbrzymieniu i przesadnym przecenieniu faktów, które nie miały i nie mogły mieć znaczenia takiego, jakie przypisuje im autor. Zaczyna się ten błąd od samego początku książki, gdzie autor pisze o przyczynach klęski wrześniowej:

„...nie szukali winnych, szukali natomiast przyczyn wieńczących Niemców mianem niezwyciężonych. Przyczynę tę znajdowali w ruchliwych, szybkich, doskonale zorganizowanych, niezawodnie dowodzonych... dywizjach pancernych” (str. 7).

Czy można się króciutko i w ten tylko sposób rozprawić z przyczynami klęski września 1939? Nad złożonością tych przyczyn nie trzeba chyba już dziś dyskutować. Upraszczanie? Tak, ale ono równa się zniekształcaniu historii.

„Jedną z pożyczek dał Polski Czerwony Krzyż, drugą Belgijski Konsul w Marsylii. Belg zdradzał sympatię do Polaków... ponieważ walczyli z Niemcami... ponieważ sam był poprzednio konsulem w Gdyni...” (str. 9).

Chyba nie z tak białych powodów i z własnej kieszeni wydawał konsul belgijski w Marsylii milionowe sumy na polskie cele. Uderza naiwność, która wiele tłumaczy, jeżeli chodzi o dalsze, bardzo już poważne błędy autora. Np.:

„Wysiłek wojenny ujmował Wielką Brytanię w coraz silniejsze karby. Kryzys już minął, chodziło o możliwie szybkie wygranie wojny” (str. 18).

Wiemy dokładnie, jak to wyglądało. Wiemy, jak bardzo zależało Anglii na szybkim wygraniu wojny. Ładowanie 6 czerwca 1944 odbyło się w momencie, kiedy armia radziecka przekraczała Bug. Takie zdanie w obecnej chwili jest po prostu śmieszne. A przecież książka nosi datę 1948 r. Czyżby autor wierzył jeszcze, że Anglii chodziło o szybkie wygranie wojny?

„...aby całkowicie poświęcić się ostatnim przygotowaniom do spotkania z oczekującymi za Atlantyckim Walem wyborowymi dywizjami niemieckimi” (str. 41).

I z tym trudno się zgodzić. Wiemy dziś, że Atlantycki Wał był bardziej rozbudowany hitlerowską propagandą. Wiemy też, jak niewielkie siły przeciwstawiały się aliantom na Zachodzie. Nie przesadzajmy. Sam autor zaprzecza sobie już parę stron dalej:

„Brzeg francuski był piaszczysty, pokryty mizernymi, karłowatymi brzoźkami i sosnkami, a oczekiwanymi bunkrów i betonowych bloków słynnego Atlantyckiego Wału ani śladu. Zupełne rozczarowanie” (str. 59).

Jakże to pogodzić? Jeżeli na str. 59 jest prawda, to po co ten ustęp na str. 41? Takie same wysoki przy opisie uwolnienia Paryża przez aliantów. Wiemy dobrze, że Paryż uwolnił się sam. Uwolnił go lud francuski, który przez sześć dni czekał na przybycie aliantów w wolnym Paryżu. To jest już wyraźny fałsz historyczny nie z prawdziwego zdarzenia, a z propagandy BBC. Musimy to

*) Jan Marowski: „Śladami czołgów I dywizji pancernej od Caen do Wilhelmshaven” (wyd. Dobra Książka. Wrocław 1948. str. 442).

kilkutygodniowe kursy przeszkoleniowe. Na kursach tych uczono ślusarstwa i obsługi maszyn. Zdolniejszych po trzytygodniowej nauce przy imadle kierowano do tokarni, szlifierek lub heblarki. Po ukończeniu kursu obróbki metali na tych maszynach odsyłano robotników do produkcji. Szkoleniu na kursach poddano kilka tysięcy Polaków zarówno z terenów przyłączonych do Rzeszy, jak i z Generalnej Gubernii. Dla pierwszych był to okres bardzo ciężki, dla drugich nie miał zasadniczego znaczenia. Robotnicy pochodzący z terenów włączonych do Rzeszy byli często jedynymi żywicielami swych rodzin. Zarabiając zaś 30 marek miesięcznie nie zapewnić rodzinom warunków utrzymania. Zaukać więc poczęli często dodatkowej pracy przy przewożeniu i wydobywaniu węgla w dni świąteczne. Robotnicy z Generalnej Gubernii byli w lepszym położeniu. Nie otrzymywali co prawda paczek żywnościowych, ale nie ciążyła im troska.

Wydobywaniu węgla w dni świąteczne. Robotnicy z Generalnej Gubernii byli w lepszym położeniu. Nie otrzymywali co prawda paczek żywnościowych, ale nie ciążyła im troska.

„Ważyli się losy II wojny światowej, wszystko zależało od udania się tej operacji” (str. 280).

Jakże straszliwa przesada! Po pierwsze, losy wojny nie mogły zależeć od zdobycia Mozy. Po drugie, w dniu 17 września 1944, kiedy rozpoczęła się ta operacja, losy wojny zostały już dawno przesądzone i to nie na froncie zachodnim. Wie o tym każde dziecko. Trzeba przyjąć, że to raczej pióro poniosło autora...

W szczytów ramach recenzji trudno przytoczyć szereg innych epizodów o podobnie biednym naświetleniu. Ograniczamy się tylko do najważniejszych. Oceniając pracę Marowskiego z punktu widzenia czysto wojskowego, odczytujemy w niej między wierszami wyraźne trudności, jakie miało dowództwo angielskie z wytypowaniem odpowiedniego czołga. Sam autor pisze o tym bardzo delikatnie na str. 18, jak to po „Valentinach”, „Struwnym”, „Churchillach”, po nich „Covenanterach”, dalej „Crusaders”, wreszcie „Cromwells”.

„Zmienialiśmy czołgi jak rękawiczki...” (str. 19)

Nieco dziwnie uderza nas przebieg operacji opisywanych przez autora. Ciągłe brak jest odpowiedniego przygotowania artylerzysty. Dowódcy wojskowi wciąż domagają się lotnictwa, a wysepka na Mozie bronią przez 180 Niemców opiera się skutecznie wszelkim atakom przez... trzy tygodnie (Kampfsche Veer — str. 359). Współdziałanie broni improwizuje się samo, spontanicznie, na podstawie dobrowolnej umowy na polu walki (str. 112).

Prawdziwy bałagan wywołują bombardowania lotnicze nieprzyjaciela. Anglo-amerykańskie lotnictwo dziwnie często leje... swoje własne wojska lądowe, zadając im poważne straty. Autor rejestruje fakt. Nie skarży się na to, nie wyciąga wniosków (str. 108, 144) jakkolwiek w tych bombardowaniach ginie wielu ludzi i przepada wiele sprzętu.

Jakaś dziwna obcością tchnie książka Marowskiego, mimo faktu, że opisuje czyn i ludzi na wskroś nam bliskich, do których stosunek nasz jest jak najserdeczniejszy. Obcość wywołują dwie rzeczy: po pierwsze stosunek do Niemców, po drugie „luksusowa wojna” aliantów zachodnich. Takiego stosunku do Niemców nie potrafimy mieć tu w kraju. Historia o dwóch wrogach, Polaku i Niemcu, którzy spotykają się w tym samym, polskim szpitalu (str. 130), żal nad listem zabitego hitlerowca do jego żony (str. 148), podziw dla faszystowskiego generała, który poddał się nie podnosząc rąk (str. 196), kurtuazja wobec jeńców (str. 197) itd., są to dla Polaka rzeczy obce, nieledwie antypatyczne.

To samo odnośnie drugiego aspektu sprawy tj. „luksusowej wojny”. Polakowi, który był tu w kraju pod okupacją, lub walczył na wschodnim froncie jako przykro jest czytać o tych nocnych lokalach Londynu, tożach wysocygowych Newmarket, czy zabytkach Cambridge (str. 21). Przykro trochę słyszeć o trzydniowych weekendach (str. 22), szkockich przyjaciółkach, sporcie rybackim (str. 31) i latach beczynności (str. 41). W tych latach w Polsce ginęły miliony bezbronných, niewinnych ludzi, mordowanych w najbardziej bestialski sposób, na wschodnim zaś froncie armia radziecka, a obok niej tacy sami polscy żołnierze, jak ci od Maczka, w najkrwawszym trudzie, sami jedni, bez drugiego frontu wywalczały zwycięstwo. Trudno takie opisy, jak u Marowskiego, spokojnie czytać, mając naszą rzeczywistość w pamięci. A kiedy autor pisze o papierowych torebkach przeciwnym, wymiotom, które otrzymywali żołnierze, wyruszający na podbój Atlantyckiego Wału, (str. 56), wtedy doprawdy bierze śmiech...

Pęd za zarobkiem osłabiał, siła rzeczy, wydajność robotnika w fabryce. Robotnik wysilał całą pomysłowość, by zyskać świadczenie lekarskie, zwalnające go na kilka dni od pracy, dawał łapówki werkschutzom i majstrom. Byli lekarze, którzy za kg masła zwalniali na tydzień od zajęć, byli brygadierzy i dozorczy, którzy „za kure” przez palce patrzyli na wolne tempo pracy swych podwładnych.

Rzesza głodowała. System kartkowy nie normował w całości wyżywienia ludności. Dlatego też kura, słonina, masło były argumentem, któremu nie oparł się często ani lekarz Kasy Chorych, ani majster, ani kierownik obozu. I z tego powodu można było spotkać w każdym prawie obozie kilku zawodowo chorych, robiących interesy na miejscu, kilku wybierających się na urlop, kilku grających w karty i obmąsających sposób dalszej choroby.

ŚWIADOMY OPÓR

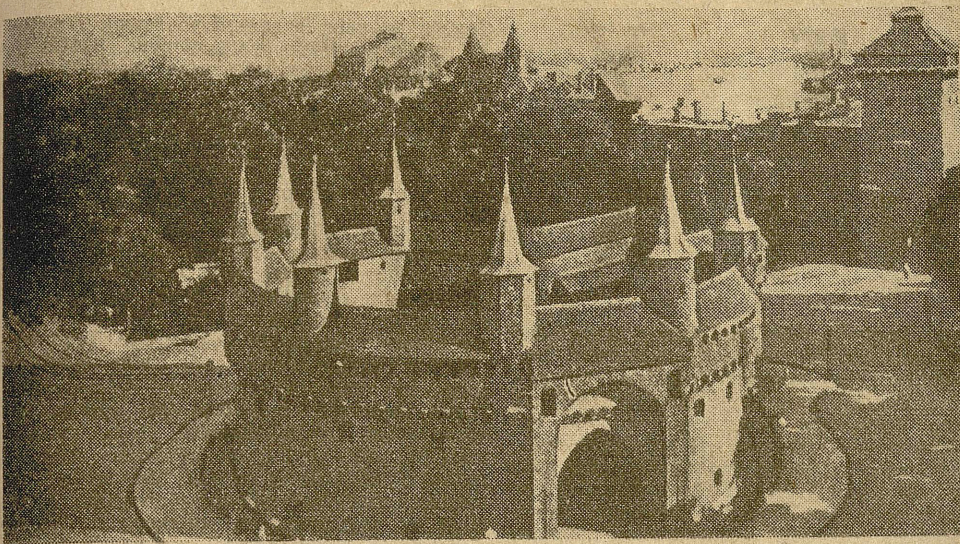
Fabryka niemiecka w czasie II wojny światowej posiadała charakterystyczne oblicze. Szczególnie widoczne to było w trzecim, czwartym i piątym roku wojny. Każda mobilizacja wygarniała młodych robotników — nie pomagały reklamacje. Miejsca przy maszynach zajmowali cudzoziemcy. Tych zaś trzeba było bacznie pilnować. Chwilowa nieobecność majstra albo werkschutzu powodowała natychmiastowe zatrzymanie maszyn, grupowe rozmowy, zebrania „na papierosa” w ubikacjach i drzemki. W tym wszystkim celowali Polacy. Dali oni przykład, jak pracować dla Rzeszy i jakie stosować metody, by nie wzmacniać potencjału militarnego Niemiec zachowując przy tym pozory pilności i obowiązkowości. Długotrwałe, dniami trwające poznanie właściwości maszyn, celowo podkreślana nieznanomość języka — mimo tłumaczy, ustawiczny brak orientacji w rysunku technicznym, niesprawności tokarni, obrabiarek — wszystko to powodowało opóźnienia w produkcji, której jakość również pozostawiała dużo do życzenia. Wszystko to wskazywało na umiejętnie zorganizowaną akcję sabotażową. Oczywiście Niemcy nie byli ślepi. Nastąpiły w wielu wypadkach represje, często sądy i egzekucje. Mimo to jednak nie potrafiono do końca wojny wyekspluataować Polaków do maksimum. Robotnika polskiego kierowano raczej do funkcji drugorzędnych, do robót mniej odpowiedzialnych. Precyzyjne roboty wykonywał Niemiec i Francuz — przeważnie jeńcy wojenni, którzy w początkowym okresie niewoli często, za tzw. dobre pochwalne słowo Niemca palili się do pracy. Nie dostrzegali, że pracując przeciwko sobie, z tego względu jeniec ten spoglądał na Polaka z wyższością, która dyktowała mu jego poczucie fahowca. Uważał siebie za arystokratę rzemiosła. Z biegiem jednak czasu jency francuscy zrozumieli, jak powinna wyglądać praca dla wroga. Nauczono się tego od robotnika polskiego. Robotnik, ten bowiem wiedział z wszystkich obokkrajowców chyba najlepiej, jak pracować i jak się zachowywać. Oszukiwał więc werkschutz, majstra, kontrolera, a nawet zegar, wybierający na kartce pracy godzinę rozpoczęcia i ukończenia zajęć. Robił to z pełną świadomością rzeczy. Wiedział bowiem, że każde zahamowanie maszyny — to mniej pocisków, mniej armat, mniej silników. A równocześnie uczył się. Przystawiał sobie techniki i organizację pracy i w częstych rozmowach podkreślał, że wie już dokładnie, jak należałoby pracować, gdyby rezultat jego wysiłku posiadał inny cel.

ŻYCIE POLITYCZNE

W częstych rozmowach w fabryce i obozie robotnicy polscy przypuszczali, mimo odizolowania od ruchu demokratycznego w kraju, możliwość odrodzenia innej, niż przed wojną, Polski. W rozmowach pierwsze skrzypce grali zwykle robotnicy emigranci z Francji, często uczestnicy walk w Hiszpanii, oraz robotnicy Zagłębia Dąbrowskiego. Wierzyli wszyscy w lepszą, sprawiedliwszą przyszłość. Uwierzyli w nią szczególnie wtedy, gdy dowiedziano się o Lenino i Wojsku Polskim walczącym u boku Armii Radzieckiej. Były liczne wypadki organizowania małych kolekcji konspiracyjnych przede wszystkim o celach sabotażowych. Były również poważne samorzutnie powstałe organizacje, które na swym koncie zapisały akcję podpalenia fabryk (WUMA — Wogonabon i Seidenberg) i niszczenia maszyn. Słuchano radia, wywieszano mapy z faktyczną sytuacją na frontach, rozsiewano przykre dla Niemców wiadomości, kontaktowano się z krajem, organizowano pocztę tajnych, konspiracyjnych gazetek i listów. Był to w całości szczególnie w r. 1944 i 5 — ruch polskiego podziemia, zorganizowany często w samym sercu Rzeszy.

Jeden Gemeinschaftslager kontaktował się z drugim. Opracowywano metody samobrony na wypadek końca wojny. Nawiazano ścisłą łączność z cudzoziemskimi robotnikami rolnymi, zasilającymi lager w żywność. Ze była to organizacja sprawna dowodził choćby fakt małej liczby dekonspiracji. Do współpracy angażowano również robotników innych narodowości: Rosjan, Czechów i Francuzów. Najbardziej intensywnie współpracowano jednak z Czechami i jeńcami francuskimi. Kontakt bowiem z Rosjanami był na ogół niemożliwy. Silne eskorty, wielu dozorujących, oddzielne baraki, inne „zyczyć” — nie stwarzały sprzyjających warunków współpracy. Mimo to dostarczano im jednak

(Dokończenie na str. 11)



Kraków. Barbakan i Brama Floriańska

Zygmunt Antoni Wójcikowski

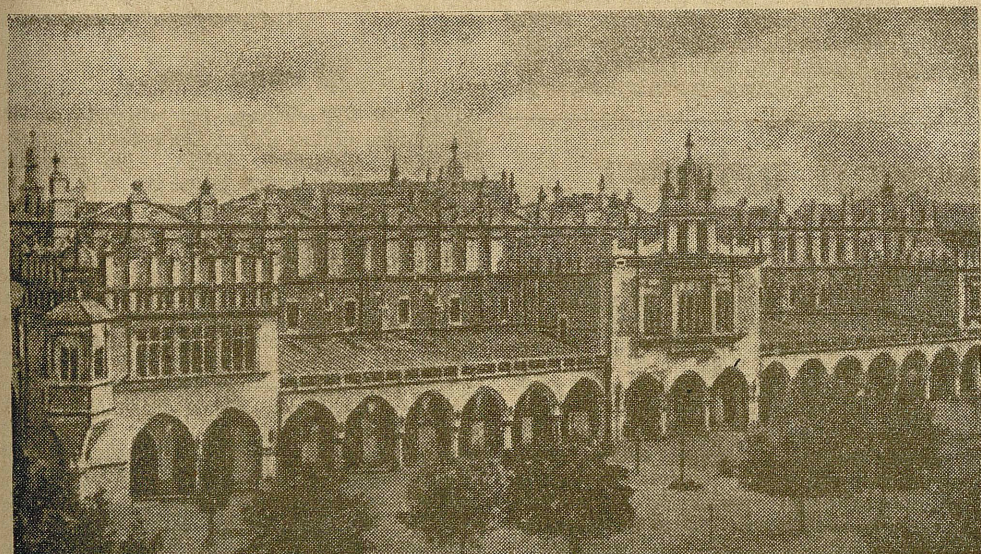
List z Krakowa

Wawel, koncerty i stare ciotki

Kawa — cykoria
Kraków — cuchnie historią... — tak bodajże brzmiał jeden z „przyczków w Kraków” Sztaudyngera, zamieszczonych w Dzienniku Literackim — Witolda Balićkiego. Jeden spośród szeregu trafnych przyczków, którymi słusznie różni tykają to miasto wielkich tradycji, cuchnących ulic i zarozumiałych mieszkańców. Pisać w ten sposób o mieście, z którego gościny się korzysta, zakrawa na hipokryzję i fałszywa, nieusprawiedliwiona ironia. Opisywać zaś Kraków w superlatywach — to oszukiwać nie tylko siebie i własny mniem lub więcej trafny osąd, ale sugerować jego mieszkańcom wielkość i troskliwie hodować bujny w Krakowie snobizm. Ani w jednym, ani w drugim przypadku nie zasługuje na miano ojca m. Krakowa, tym bardziej na wdzięczność i uznanie „tubylców”. Pisać ten „list z Krakowa” wychodziłem z założenia, że o zaletach, zabytkach, kulturach Krakowa wie się wiele. Zwiedzający Kraków widzi Wawel, czuje pląty, odwiedza teatry, słucha koncertów, tłoczy się pod Sukienicami, potraça ciocię z pieskami przed kawiarniami. Jest pod wrażeniem wielkich i świętych tradycji grodu, oszołomiony skrzypieniem tramwajów, poruszony dźwiękiem hejnału i zachwycony jakością lodów z okienka u Noworolskiego. Ale nie o tym chciałem pisać. Choć potraciłem o brud uliczny, chciałbym zetrzeć prochy kultury i snobizmu z innych dziedzin życia. Od strony najbardziej wrażliwej, której wyswiechtana jedwabną podszezwką świeci krakowianin — każdemu, kto nie jest rasowym tubylcem. Każdemu, kto jest z „provincji”: Warszawy, Poznania, Kielc, Katowic, Łodzi czy Częstochowy. Każdemu, kto nie strzyże na karku włosów, nie nosi krótkich portek i postawionego kołnierza. Każdemu, kto nie chodzi na koncerty filharmonii, odczyty...

Tu się zaczyna. Od koncertów, teatrów i odczytów. Przez parę ostatnich lat miałem możność poznać wiele środowisk społecznych i regionalnych. Napatrzyłem się ludziom,

poznałem stosunki między nimi panujące i poznałem ich potrzeby kulturalne. Dla przykładu Poznań: nowoczesne miasto pełne życia i pracy twórczej. O nieprzemijającej historii i czystych ulicach, prostych ludziach i prawdziwej potrzebie kultury. Widziałem pełne kina i teatry, pięknie utrzymane parki i kwitnące trawniki, uprzejmych i dobrze wychowanych ludzi. I do jakichże doszedłem wniosków? Zauważyłem wyraźnie niefałszywane interesowanie się życiem w najrozmaitszych przejawach. Dla mieszkańca Poznania przedstawienie teatralne jest przeżyciem kulturalnym. W Krakowie — prezentacją toalety i obnoszeniem swej kulturalnej osoby. Koncert filharmoniczny w auli U. P. — potrzebą słuchania i odczuwania muzyki. W Krakowie — obowiązkiem dobrego tonu i opinii intelektualisty, odczyt w Poznaniu potrzebą wiedzy, w Krakowie — przyzwyczajeniem elity i przywódców arystokratycznego stadu... Wyobrażam sobie, czym jest wieczorek z małą czarną i ciasteczkami w Akademickiej, czy u Hawelki; pewno nieczym innym jak wydarzeniem historycznym Krakowa — dla wielu „całującą” i „pandemoniozów”. Wszystko co napisałem wygląda na koszmarny sen, który chciałoby się spędzić z powieką razem z tą rzeczywistością, którą tutaj przedstawiłem nie bez określonego celu! Jak wielu innym, którzy coś sami poradzą (?), leży i mnie sprawa Krakowa na sercu. Przypuszczam, że poprzednie moje słowa będą powodem wielu oburzeń. Nie to. Oburzenie zmieni się w rozgoryczenie. To drugie sprowadzi rozsadek, który pozwoli stwierdzić istniejący stan rzeczy. Poznanie braków znaczy — usunięcie ich. Poczł nam z duch fałszywie pojmowanych tradycji, przesada w codziennym życiu, zakłamanie i nicowanie własnych „ja” na stronę błyszczącą złotem a brzękającą miedzią. Stałmy się ludźmi o kulturalnej prostocie, a przyczki nie dotkną nas ani Krakowa. Sztaudynger i podobni w inną zwrócą się stronę tych przyczków potrzebującą. Prześniemy cuchną historią.



Kraków. Sukiennice

SPOD STRZECH NAD SZPREWĘ

(Dokończenie ze str. 10)

wiedomości, pomagano materialnie. Najkorzystniejszą kształtowała się konspiracja z Czechami, elementem na ogół wysoko patriotycznym i inteligentnym. Ze względu na to, że mieli oni możność częstych wyjazdów do Czech, co uległo dopiero zahamowaniu po zamachu na Heydriha, istniało dobre źródło informacji dotyczących sytuacji politycznej i strategicznej. Francuzi natomiast byli doskonałymi wykonawcami małych odborników radiowych, które sprzedawali za cześć, cebule, tuszeczki i marki.

Niemcy oczywiście podejrzewali możliwość istnienia konspiracyjnej akcji wśród robotników-cudzoziemców. Kontrole jednak, rewizje łagrów ściśle obserwacje, próby demaskowania metodą „wtyczek” nie dawały na ogół pożądanego wyniku. W rezultacie postanowiono kolumnom polskim przydzielić stałego stróża, który nie spuszczał z oka robotników w łagrze, podczas drogi do pracy i w samej fabryce. Był nim zwykle zdolniejszy werkschutz. Mimo tych środków Po-

lacy niełatwo się dekonspirowali. Zachowywali pełną ostrożność, wskutek czego trudno było o „wsypy”, choć akcji „sabotażowej” nie przerywano prawie nigdy.

Stosunek Niemców do robotnika polskiego, — gdy wykluczy się prawdziwych demokratów — był zawsze wrogi. Nasilenie tej wrogości zmieniło się w zależności od rozwijania się sytuacji na froncie. W chwilach powrożeń Niemcy byli „stosunkowo” pobłażliwi, w chwilach zaś klęsk opanowywała ich zwykła furia nienawiści. Imputowano wtedy Polakom winę klęsk. W końcowym zaś stadium wojny były już jednak oznaki zabiegów o skarbienie sobie u Polaków łask. W rozmowach przypomniano Polakom momenty, w których oddawano im pewne przyśługi. W obliczu końca wojny, starano się, obawiając się odpowiedzialności, dyskutować swe zasługi. W tych wypadkach znikały buta i pycha niemiecka, na miejsce zaś tych cech występowała lisa skromność i potulność.

Tadeusz Twarogowski

O nieznanych przyjaciółach

MÓJ DROGI!

Kilkakrotnie zetknąłem się w ostatnim okresie z problemem na tyle aktualnym, że chciałbym się nim z Tobą podzielić. A warto — przypuszczam, by i szerszy ogół społeczeństwa zapoznał się z nim.

Rozmawiałem przed kilkoma dniami z prof. Csorbą — uczonym węgierskim, który już wiele lat pracuje nad zbliżeniem kulturalnym polsko-węgierskim. Była to rozmowa bardzo ciekawa i charakterystyczna.

Wyobraź sobie, mój drogi, tło — park, pelen zieleni — staw, lśniący wszystkimi barwami tęczy w upalnym słońcu letniego dnia. Przytem węgierski uczonec. I rozmowa — o sprawach... całkiem nieznanych. Tak obcych — jak kultura ludów z pustyni Gobi — z której, być może, szczepy madziarskie kiedyś przywędrowały do Europy. Naprzód moja niewiedza o sprawach naszego najbliższego sąsiada nie zdziwiła mnie. Ale, później zrozumiałem cały paradoks sytuacji.

Nie chodzi o Węgry. Sprawa dotyczy nas. Albo ściślej — tych wszystkich narodów, które zaprowadziły u siebie ustrój demokracji ludowej.

Dziwiłem się kiedyś czytając, że studenci amerykańscy nie wiedzą — bardzo, bardzo często — że stolicą Polski jest Warszawa, a główną rzeką Wisła. Ze poloneza uważają za narodowy taniec francuski — a kozaków za narodową kawalerię polską. Wydziwiałem nad intelektualnym ograniczeniem młodzieży amerykańskiej.

Albo powiedzmy sobie szczerze — czy my wiemy sporo więcej — już nie np. o krajach półkuli zachodniej — ale o naszych najbliższych sąsiadach — bratnich narodach — jak się to oficjalnie mówi.

Ilu licealistów czy nawet studentów — u nas — wie kto to był Petöfi? Ilu wymieniłoby najwybitniejszych bodajże intelektualistów — przeszłości i teraźniejszości — powiedzmy Jugosławii czy Bułgarii albo Rumunii?

Jeszcze dziś — nasza młodzież (a zapewne nie tylko ona) patrzy na kraje Europy Wschodniej, jak na Azję, (Azję, rozumiałe, w negatywnym tego słowa znaczeniu). Klasyfikuje świat wg. ocen 19-wiecznych: co się działo na zachodzie, to jest piękne i dobre, — na wschodzie, ba, szkoda słów.

Jerzy Sikorski

„Stalowe serca“?

ostatnio wyświetlano w kinach nowy film polski „Stalowe serca”. Dwa czyniki obrazu filmowego, jakim są scenariusz i reżyseria, zawiodły tu zupełnie. Scenariusz nie oddał nawet w przybliżeniu sytuacji górników czy hutników śląskich w okresie niemieckiej okupacji.

Nie słyszy się tu zupełnie gwary śląskiej, nie widać na murach napisów „Wer polnisch spricht ist unser Feind!”, nawet gestapowiec-inspektor władza poprawną polszczyzną Ślązacy pozdrawiają się zdejmnowaniem kapelusza, a nie urzędowo nakazanym „Heil Hitler”. Twórca scenariusza nie zrozumiał sytuacji tych przymusowo zapisanych na niemiecką listę narodową Polaków śląskich, którzy w celu zdezorientowania Niemców starali się za wszelką cenę nie zwracać na siebie uwagi. Stosunek Polaków do Niemców na Śląsku w okresie okupacji był jak 3:1, w Guberni 30:1. Volksdeutscha śląskiego pozdrawiającego swych towarzyszy pracy zdejmnowaniem kapelusza uważano za prowokatora hitlerowskiego. Konspirator śląski z zapalem podnosił prawicę i wypowiadał słowa „Heil Hitler” donośniej, niż Niemcy — wymagała tego bowiem technika konspiracji polskiej przy zdejmnowaniu się wszechmocnej aparaturze kontroli i szpiclistwa.

Naiwna wydaje się historyjka z rzekomą oznaką partyjną, która jest zwykłą oznaką „Arbeitsfrontu”, do którego każdy robotnik śląski należał przymusowo.

W rzeczywistości Niemcy terroryzowali na „Betriebsappellach” tych, którzy nie nosili tej oznaki, gdyż i w tym drobnym fakcie dopatrywali się służnie przejawu biernego oporu i wyłamania się spod norm dyscypliny.

Film nie pokazał systemu polityczno-społecznego, który stosowali Niemcy na Górnym Śląsku, nie obnażył układu sił polskiej akcji odwetowej. W „Stalowych sercach” poszczególne postacie nie są podporządkowane pewnej koncepcji, nie są typowe dla środowiska, lecz wyrastają z próżni socjologicznej. W akcji dominuje grupa bohaterów, z której wysuwa się na plan pierwszy według szablonowej recepty — para zakochanych.

Studentka z Warszawy nie mogła w żadnym wypadku zostać sanitariuszką w prze-

Ale nie to jest najistotniejsze. Ważniejsze jest to, że się nic albo bardzo mało pracuje nad sprawą zbliżenia kulturalnego krajów ludowych. A można sądzić, że oficjalne umowy kulturalne — nie zlikwidują kulturalnej obcości.

Mógłbyś mi jednak zadać pytanie, czy sprawa warta takiego rwetusu. Wróć na chwilę do mojej rozmowy z prof. Csorbą.

Mówił mi o osiągnięciach naukowych i literackich Węgier. Stwierdzał, jak obszerna jest u nich literatura — nowa, ludowa literatura — socjologiczna i piękna, która stara się rejestrować przemiany zachodzące na wsi węgierskiej w okresie wojennym. Są to dla nas rzeczy tym ciekawsze, że sami niedawno dopiero rozpoczęliśmy badania przemian społeczno-gospodarczych wsi polskiej. Czy poznanie osiągnięć węgierskich warte jest zachodu? Niewątpliwie. Jest dla nas tak samo konieczne, jak poznanie badań naukowych wszystkich krajów demokracji ludowej.

Albo powiedz mi jeszcze, co wiemy o badaniach naukowych przemian struktury społecznej Jugosławii, Bułgarii, Rumunii? A i o Czechosłowacji — choć wiemy o niej najwięcej, — nie wiemy zbyt wiele.

Wiemy znacznie więcej o Francji, Anglii, Stanach Zjednoczonych. Wiemy z prasy i z nauki — jeszcze ze szkolnych lat. A czego uczono nas w szkole o małych narodach Europy Wschodniej? Czy za dziś poczyniono tak radykalne zmiany w podręcznikach szkolnych — by tę lukę uzupełnić?

Nie byłoby dla nas korzystne, gdybyśmy nie znali spraw i historii Zachodu — ale jest źle, że nie znamy spraw i historii Wschodu Europy — albo znamy w niedostatecznym stopniu.

Zastanów się nad tymi sprawami — bo są istotne. A przypuszczam, że wartoby jak najszybciej rozpocząć wypełnianie pustki.

Sprawa poznania i zbliżenia kulturalnego z tymi, z którymi jesteśmy związani wspólnym losem ustroju społecznego — jest ważna nie tylko dla naszych sfer rządzących, ale dla całego narodu — albo ściślej dla wszystkich narodów demokracji ludowej. Jest nader istotnym elementem wzmocnienia frontu demokratycznego — już nie tylko z pomocą paktów i układów — ale wzajemnego, narodowego zrozumienia i poznania.

Twój Krzysztof.

Panu Goa z „Tygodnika Powszechnego”

Miałem ochotę tę odpowiedź p. Goa z „Tygodnika Powszechnego” zatytułować: „Uczciwiej cytować i informować! Odrobinę myśleć!” — gdybym mógł tego spodziewać się po publicyście „Tygodnika Powszechnego”; p. Goa odebrał mi również w tym „spotkaniu literackim” do jakiego mnie prowokuje, przyjemność pouczenia go o tym „po nazwisku” — mniejsza o to.

Pocznijmy od informacji i cytatów. Mój artykuł o Kiplingu jako wychowawcy (Jak wychowywał Kipling? Wiś R. V. Nr. 15 z 11 kwietnia 1948 r.) traktował o „Stalki i Spółka” — Kiplinga. O „Innych utworach tego pisarza” mowa była tylko mimochodem. Powieść tę wydało Wydawnictwo Polskie R. Wegner, nie Sp. Wyd. „Wiedza”, a więc: po śpiech, uproszczenie czy celowe kłamstwo było źródłem twierdzenia p. Goa: „W związku z tymi wznowieniami (tzn. Sp. Wyd. „Wiedza”, która wydała „Kima”, „Księgę dzungli”, „Puka z Pukowej Górki” — Kiplinga, przyp. mój Z. S.) spotkała się (Sp. Wyd. „Wiedza” przyp. mój Z. S.) z ostrą krytyką... „Wiś”, oceniającą niezmiennie ostro, piecwie imperializmu angielskiego”. Cytat wyrwany z kontekstu jest nie lepiej spreparowany.

Dalej. Gdyby p. Goa zadał sobie trud przeczytania studium W. Borowego o „Godach życia”, miałby sposobność z najbardziej mądrego źródła dowiedzieć się, jak dalece twór ten jest alegorycznym wykładem słów filozofii Dygasieńskiego. Właśnie ta filozofia, nie zaś podejrzane w tym wypadku jakości walory estetyczne (co także nie zbicie udowodnił W. Borowy), prowokują do rozejrzenia się w propagowanych wartościach wychowawczych i zestawienia ich z innymi.

Że p. Goa nieuczciwie informuje czytelnika o moich wywodach na temat Kiplinga — Bóg z nim, obawiam się tylko, czy to będzie Bóg redaktorów „Tygodnika Powszechnego”. Ważniejsze natomiast, że we własnym wywodzie jest (chyba przez nadmiar komplikacji w dwuspalowym felietonie, w którym przecież znalazło się miejsce na gromkie moralizowanie) — tak metny, że nie sposób przy najlepszej woli zrozumieć, o co mu chodzi. I co ma wspólnego z tym wszystkim „życie” (jako kategoria krytyczna) oraz urojone pochodzenie społeczne?

Co zaś do „niedopuszczalnych uproszczeń myślowych, które muszą wynikać, gdy się chce wszystkie procesy tłumaczyć wedle jednego (sociologicznego) przyp. mój Z. S.) schematu”, co jakoby ja uprawiam w tym felietonie o powieści Kiplinga — to:

po pierwsze: może wyda mu się bardziej przekonywujący taki zabieg w odniesieniu do Kiplinga cytowanego przeze mnie G. Orwella tłumaczonego w emigracyjnej „Kulturze”, piśmie napewno nie marksistowskim;

po wtóre zaś: niedorzecznie pasowany przez p. Goa na marksistę nie podzielał jego wiary w omnipotencję nawet uproszczonej metody sociologicznej. Najbardziej „trywialna” metoda sociologiczna zrezygnuje z kwalifikowania jego metody polemizowania na rzecz „Innej dziedziny „badawczej”.

P. Goa przypisuje mi (bardzo ciekaw jestem, od którego z Ojców Kościoła przejął te chwyt?) jakobym twierdził, że „nie należy czytać Kiplinga, bo „imperialista, a Dygasieńskiego, bo wstecznik społeczny i „rezygnator”, a więc nie wydawać, nie wznawiać” — wbrew oczywistości, bo mój wstęp wyraźnie świadczy, jak można jedną z książek Kiplinga czytać, a reszta jest tego wywodem. Jest to dobre prawo krytyka ustawiającego się w felietonie na pozycji przeciwnego odbiorcy książki. Młta insynuacja p. Goa przypomina mi starą anegdotę. Spowiadający się chłopiec wiejski utknął beznadziejnie przy wylizaniu swych grzechów, spowiednik przeto postanowił mu to ułatwić i pyta:

— A może wkładasz nóż w otwór skarbonki i wytrącasz z niej bez wiedzy rodziców pieniądze? — Co?

— Nie! proszę księdza. Ale to jest dobry pomysł!

Oddajmy więc w tej „polemice” co katolickie — katolickiemu publicyście.

Gdyby przecie wypadło mi zastanowić się nad propozycją p. Goa sądzić, że znalazłoby się wiele rzeczy, które należałoby wydać przed Kiplingiem, nie tylko pisarzy „Kuznicy”, o których troszkę zostawiłam mu z dobrodziejstwem inwentarza.

Nie zamierzam więcej polemizować z p. Goa. Może któryś z „towarzyszów broni” wyjaśni dobitnie, że jak na jego możliwości intelektualne, w Polsce jest zbyt wiele kościołów, skoro nie wie w którym dzwonią.

Zdzisław Skwarezyński

Niedźwiedzia przysługa

Oficjalne wypowiedzi czołowych czynników naszego kościoła katolickiego, bronią — otwarcie lub z ukrycia — ale zawsze bronią — polityki Watykanu. Być może nie znają pewnych faktów. Np. nazbyt bliskiej współpracy Watykanu z Waszyngtonem — stolicy dolara i stolicy ducha. Możeby więc posłuchał, co pisze amerykański „United States News” z 19 marca 1948 roku.

„W normalnych warunkach wybory we Włoszech nie interesowały nikogo za granicą. Zdarzenie to nie zajmowało nigdy samych Włochów. Lecz wybory z 18 kwietnia posiadać będą odmiennie znaczenie.

Przyczyna tkwi w tym, że walka tylko pozornie toczy się między Włochami. W rzeczywistości toczy się bitwa pomiędzy USA a ZSRR o sprawowanie kontroli nad zachodnią Europą.

Oto prawdziwa przyczyna, z której Włosi zdają sobie sprawę. W rezultacie napięcie stale wzrasta. Wszyskając kościoł,

zwierają szeregi. Tak więc księża mawiają swym parafianom:

„Stalin nie zobaczy, jak głosujecie, lecz Bóg zobaczy”.

Tyle tylko! Zdemaskował się Waszyngton — niewątpliwie. Ale demaskując się osobiście, wyrządził niedźwiedzia przysługę odanemu partnerowi.

Możeby mi jednak ktoś wyjaśnił — dlaczego nawet Boga wciąga się do polityki? Czy poto, by razie sumienie wiernych? Możeby mi odpowiedzieli głowy naszego kościoła katolickiego — bo doprawdy nie rozumiem.

A. L.

Z okazji śmierci Bierdiajewa

„A wpływ Bierdiajewa? Ten wielki myśliciel nie zostawił po sobie szkoły. Był samotny i został samotnym do końca”. — ubolewa ks. Piwowarczyk w artykule z okazji śmierci autora „Nowego średniowiecza”. Podzielimy jego niepomnierny żal i w pełni rozumiemy. Jedynie pretensje, jakie tu chciałbym wnieść, dotyczą przymiotnika. Wielki? Dlaczego? Z racji pańi „wzderania się do głębokich pokładów duszy i historii”? Owszem, może to jest jakiś powód, w każdym razie bełkotliwy i niezrozumiały, natomiast doskonale dostosowany do tych wspaniałych wywodów, jakimi mistrz Bierdiajewa nieraz nas obdarzał. No i jeszcze jedno najzupełniej skromne pytanie. Po co dziś lansować „Nowe Średniowiecze”? Pytam już nie jako wyznawca jakiejś ideologii, lecz jako czytelnik. Przecież niesłychana wieloznaczność i metność rosyjskiego mistyka jest powszechnie znana. Był to bowiem „głęboki” myśliciel, z którego pełnymi garściami czerpali redaktorzy Camery Obscure w przeróżnych pismach. Osobiście nie miałbym nic przeciwko pełnemu wznawieniu jego pism i popularyzacji. Zarobiłbym więcej na notach.

F. G.

Ideologia i kapitał

Gdy przeczytałem w „Kuznicy” artykuł Anatola Estryana, nadesłany aż z Tangeru („Na szlakach panarabizmu”, Kuznica nr 23) nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że autor został zlekka „uręczony” przez swojego interlokutora Araba, bardzo jak mi się wydaje, subtelnie hipokryty. Arab ten roznosił przed europejskim słuchaczem znaną nam przecież mgiełkę ideologiczną o misji, o odrębności, o wyższości. Są to chwytły, którymi posługuje się każdy imperializm. Klasycznie zademonstrował je faszyzm, używa ich dzisiaj kapitalizm amerykański. Imperializm arabski jest imperializmem obrony; Liga Arabska broni się przeciwko Europie, która weńcisła się na Bliski Wschód żydowską Palestyną. Co to znaczy?

Nowoczesna, uprzemysławiająca się Palestyna, o racjonalnej gospodarce rolnej jest kamieniem obrazu dla arabskich effendi, obrońców feudalnej struktury państw arabskich. Dla Anglii oczywiście feudalny ustrój, to możność pertraktowania nie z ludem, a z władcami, ilustracją może być Abdullah.

TECHNICY W PRODUKCJI ROLNEJ

(dokonczenie ze str. 9)

UCZELNIA:	Ilość studentów	Liczba wykładowców	Asystenci	Ilość studentów na 1 asystenta
SGGW Warszawa	1553	37	159	10,1
Uniwersytet Lublin				
Wydział rolny	322	11	46	7,0
Uniwersytet Poznań				
Wydział rolny	1151	14	97	12,0
Uniwersytet Wrocław				
Wydział rolny	423	11	42	10,0
Uniwersytet Kraków				
Wydział rolny	2080	19	73	28,5
WSGW Cieszyń	485	25	20	24,3
WSGW Łódź	1153	44	34	36,2
Razem:	7167	161	471	15,2

Ogólny wskaźnik ilości studentów przypadających na 1 asystenta jest poprawny i bardzo bliski tych norm, jakie przewiduje Min.

Dlatego Anglia będzie bez obawy przyglądała się panarabskiej ideologii wschodnich nacjonalistów. Przy pomocy Palestyny rozgrywa ona obecnie swoje „być albo nie być” na Bliskim Wschodzie. Stworzone państwo żydowskie zostało wybrane na kozła ofiarne. To jest cena, za którą Anglia chce utrzymać swoje wpływy na Bliskim Wschodzie. Wyrósł tu nagle nowy konkurent — Ameryka, która początkowo postawiła na niezależne państwo żydowskie — Erec Israel. To właśnie był moment do wykorzystania dla dyplomacji angielskiej, za którą stoją angielskie trusty naftowe.

Bo o co chodzi? Czym dla Anglii i Ameryki jest Bliski Wschód? To tyle co około miliona beczek nafty dziennie, a więc 10% produkcji światowej. Szansę na utrzymanie tej nafty w swoim reku miała dotychczas Anglia, obecnie zgłosiła się po nią i Ameryka. Ameryka planu Marshalla. Czym może Anglia zjednać sobie sympatię Arabów? — Cichym mobilizowaniem świata arabskiego przeciwko niezależnemu państwu żydowskiemu, wyposażeniem legionu Transjordańskiego w nowoczesny sprzęt wojenny. Anglicy mają w ten sposób szansę pokazania, że to oni są przyjaciółmi Arabów — nie Ameryka. To są inwestycje, które w przyszłości wdzieczni władcy arabscy zwrócą koncesjami naftowymi. Żydowska Palestyna wystawiona na „sztych” broczy krwią — to nie ma znaczenia! Ważne jest to, co z tego będzie można wyciągnąć. Wojna w Palestynie to jedna z najjaśniejszych ilustracji metod działania świata kapitalistycznego. Dla przyszłego badacza historii gospodarczej świata w rozdziale: „Gospodarka kapitalistyczna” wypadek — Palestyna w roku 1948 — będzie klasycznym przykładem dla objaśnienia mechanizmu rozgrywających się wydarzeń politycznych. Ideologia nacjonalistyczna Ligi Arabskiej to jest również surowiec, z którego kapitalista angielski umie wybić monetę. „Tak toczy się świat” — powtórzmy za Kandydem, gdy traktuje się go jako teren „wolnej gry interesów”.

M. K.

O Spółdzielczych Kursach Korespondencyjnych kilka uwag

Kilka tygodni temu sygnalizowaliśmy artykułem W. Jazdzynskiego „Szkoła przyszłości” konieczność rozwoju Korespondencyjnych Kursów Spółdzielczych (umasowienie nauczania i podwyższenie o piętro średniej zawodowej szkoły spółdzielczej — korespondencyjnej). Ostatnio została powołana Komisja Społeczna dla tego typu szkolenia. Z Konferencji Komisji podajemy wypowiedź prof. Szczepańskiego, zgłoszoną w formie „kilku uwag”.

REDAKCJA.

Spółdzielczość nie jest celem sama dla siebie. Jest ona narzędziem warstw pracujących, dążących do podniesienia swojego poziomu kulturalnego i ekonomicznego niezależnie od warstw gospodarczo silniejszych. Te zadania wyznaczały formy i metody pracy ruchu spółdzielczego w społeczeństwie kapitalistycznym. Zmienione warunki ustroju społeczno-gospodarczego po-

ciągają za sobą i zmienione formy i metody pracy w ruchu spółdzielczym. Spółdzielcze Kursy Korespondencyjne przygotowują pracowników ruchu spółdzielczego. Stąd więc jako pierwsze założenie przy ustalaniu ich programu i sposobów jego urzeczywistnienia, trzeba przyjąć rolę spełnianą przez spółdzielczość w społeczeństwie i gospodarce narodowej. Trzeba przy tym pamiętać, że ruch spółdzielczy był i jest przede wszystkim ruchem stawiającym sobie zadania społeczne, że działania gospodarcze były zawsze tylko sposobem i drogą do osiągnięcia celów społecznych, tj. stworzenia nowych form współzycia zbiorowego. Stąd wynika, że przygotowanie kadr ruchu spółdzielczego nie może się ograniczać do przygotowania fachowych techników dla aparatu gospodarczego spółdzielczości, lecz również musi im dać pogląd na społeczną ważność ruchu i jego cele społeczne. Ten pogląd natomiast musi być związany z ogólną orientacją w zagadnieniach społecznych. Wiemy dobrze, że rozbudowana spółdzielczość powojenna potrzebuje przede wszystkim fachowców i nie można tej potrzeby szkolenia fachowców podkreślić dostatecznie mocno. Trzeba nam sklepowych, magazynierów, bilansistów itp. Pracownik o orientacji społecznej, bez dostatecznej wiedzy fachowej może nieraz przy najlepszych chęciach nie dorosnąć do zadania. Lecz z drugiej strony, fachowiec jednostronnie przygotowany, nie rozumiejący społecznej roli, jaką spółdzielczość ma do spełnienia, będzie wnosił ze sobą niebezpieczeństwo biurokratyzacji ruchu, przekształcania spółdzielczości w pewien rodzaj przedsiębiorstwa. Tak więc jasne zadanie sobie sprawy z roli, jaką spółdzielczość spełnia w naszym ustroju społeczno-gospodarczym, jest pierwszym założeniem organizowania pracy S. K. K.

Drugim założeniem pracy S. K. K. jest uwzględnienie ich miejsca w planie organizacji życia kulturalnego w państwie. S. K. K. nie mogą być instytucją niepowiązaną z ogólną polityką kulturalną, z narodowym systemem wychowania i kształcenia. S. K. K. spełniają rolę społeczną każdej szkoły: dokonywują selekcji uczniów i przesuwają ich w ramach hierarchii zawodowej i warstwowej społeczeństwa. Stąd trzeba jasno określić, dla kogo są one przeznaczone, jak do nich rekrutować uczniów, jaki materiał naukowy im dostarczyć i na jakie stanowiska ich po ukończeniu skierować, aby mogli najlepiej spełnić swoje zadania gospodarcze, społeczne i kulturalne.

Konieczność prowadzenia S. K. K. nie podlega ani wątpliwości, ani dyskusji. Dyskutować można tylko nad założeniami, techniką pracy, organizacją i zakresem. Nasuwa się przy tym, że S. K. K. jako najszersza z dotychczasowych instytucji nauczania korespondencyjnego w Polsce, jest niezwykle ważnym elementem w planowaniu odbudowy i przebudowy kulturalnej, że może stać się ośrodkiem krystalizującym szeroko zorganizowanej działalności; kształcenia korespondencyjnego na wszystkich poziomach. S. K. K. zatem jest nie tylko zagadnieniem ruchu spółdzielczego. Jest zagadnieniem ogólnej polityki oświatowej i szkolnej. W ich utrzymaniu i rozwoju zainteresowani są zarówno ludzie planujący odbudowę gospodarczą, jak i ludzie planujący organizację życia gospodarczego.

Prof. JAN SZCZEPAŃSKI
Instytut Socjologiczny
Uniwersytetu Łódzkiego.

O roku ów...

Dnia 21 i 22 czerwca br. odbędzie się w Warszawie Walny Zjazd Delegatów Związku Młodzieży Wiejskiej „Wiś”. Na porządku dziennym obrad widnieje już nie tylko troska o dalsze losy „Wiś”, ale przede wszystkim troska o losy całej młodzieży polskiej.

Na Warszawskim Zjeździe zamkną delegaci Związku Młodzieży Wiejskiej etap dotychczasowej działalności i zadeklarują przystąpienie do jednolitej frontowej, wspólnej organizacji młodzieży chłopско-robotniczej.

Kongres Jedności Młodzieży Polskiej odbędzie się w lipcu — na Ziemiach Odzyskanych we Wrocławiu, 40.000 delegatów reprezentować będzie już nie różne, ale właśnie jedna, pierwsza w dziejach narodu — organizację młodzieży Państwa Ludowego.

„Wiś” mają poważny udział w budowie jedności młodzieży. Etapy drogi wiejskiej do Wrocławia to: akcja demokratyzacji Związku, konferencja ideologiczna w Dębowej Górze, udział w pracach Komitetów Jedności Młodzieżowej, wreszcie zjazd warszawski. Poważny udział ma także reszta organizacji młodzieżowych.

Tak więc rok 1948 upływa pod znakiem jedności młodego pokolenia narodu. Zjazd Wrocławski odbędzie się w radosnej atmosferze. Służba Polsce buduje porty, stawia instalacje fabryczne i nowe domy w stolicy. Kraj pokrywa w ciągu lata obozy robotnicze młodzieży, która pójdzie masowo do akcji zniwnej. Rolnik przewiduje pomyślne zbiory, przemysł zwiększa produkcję, Polska rozszerza wymianę kulturalną i gospodarczą na coraz to inne kraje.

To są fakty, których nie potrafił odwrócić ani osłabić słynny list pasterski biskupów polskich.

O roku ów! Ciebie młodzież nazywa rokiem jedności, robotnik wzmożenia produkcji, rolnik — urodzaju, naród — dalszej odbudowy. A biskup? Zresztą, czy to jest ważne?

pp

SPROSTOWANIE

W numerze 25 (154) „Wiś” przy artykule Stanisława Cieślaka „Gospodarcze planowanie przestrzenne w Polsce” zostało zniekształcone nazwisko Autora. Redakcja najgorzej przeprasza Autora za przykry błąd.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł;

1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133, telefon 100-98.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 60. — zł., kwartalnie 180. — zł., półrocznie 360. — zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto

P K O Ł O D Z VII — 1080

Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik” Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—030008